

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Dzieci i służący.



Zły humor pana domu, kapryśne wymagania, częsta niesprawiedliwość pani i niegrzeczności dzieci, niekiedy bezliłość, bolesne oto trzy, że się tak wyrażę, „stacye,“ czekające na drodze życia te, które skazane są szukać pracy wśród rodzin dla siebie obcych, same bez opieki i bez rodziny, przepaścią podrzędnego swego stanowiska i uprzedzeń różnych oddzielone od chlebobawców, z którymi w tak blizkiej, codziennej żyć muszą styczności. Nie dziw, że „miejsca bez dzieci“ stanowią zazwyczaj upragniony etap dla szukających służby, każdy rad, gdy tylko może, oszczędzić sobie choćby jednej przykrości.

Nie myślę się z pewnością, jeśli mówię, że nie tylko powiększona praca, lecz smutne doświadczenie wyrobiło poprostu lęk przed służbą w domu, gdzie są dzieci. To nawet nie-naturalne. Ogromną większość służby u nas stanowi służba żeńska, należałoby więc oczekiwać raczej, aby instynkt macierzyństwa, drzemający na dnie serca każdej kobiety, pociągał ją właśnie tam, gdzie są dzieci. Zaiste smutne oskarżenie przeciw pedagogicznym błędom większości rodziców tkwi w tej niechęci.

Dzieci nie zepsute, nie spączone niewłaściwym wychowaniem, aczkolwiek niekoniecznie anioły, są przecież tym najmilszym, najrozkoszniejszym żywiołem w domu, wnoszącym z sobą do każdego kącika wesołość serdeczną, a powinny by przytem być najnaturalniejszym łącznikiem pomiędzy państwem a czeladzią.

Nie lubię narzekać na dzisiejsze czasy, uważam, że wychwalanie dawnych jest, po większej części, ze względu na zmienione warunki,

ki, bezpodstawne, niekiedy nawet wprost nie mające sensu, atoli zdaje mi się, że odnośnie do stosunku służby domowej i chlebobawców dawniej działo się jakoś lepiej. Nie rzadko w dawnych biografiach i pamiętnikach znajdujemy przykłady, które dowodzą jasno, iż wspomnienia lat dziecięcych łączą się z przyjaznymi, wzajemnymi uczuciami dzieci i służby domowej.

Chociażby kiedyś, w przyszłości, różne, ku temu wynalezione maszyny, odebrały z rąk ludzkich grubszą domową robotę, chociażbyśmy rozmaite czynili przypuszczenia i plany ustosunkowania pracy służby naszej, chociażbyśmy obmyślali jak największą redukcję godzin ich zajęcia, dziś jeszcze tysiące służących żyje w arcy blizkich stosunkach z naszymi dziećmi i jak zawsze i wszędzie, gdy ludzie żyją razem, muszą na siebie oddziaływać wzajemnie. To wzajemne oddziaływanie właśnie, jakim jest i jakim być powinno, nasuwa uwagę całe tomy.

Trudno byłoby orzec stanowczo, co dla wyrabiającego się charakteru jest bardziej niebezpieczne, służenie, czy panowanie, atoli to jest pewnem niezawodnie, iż zobopólny stosunek jednego z drugim wytwarza wiele niebezpieczeństw moralnych. Odsądzanie od osobistej godności, które tak często spotykamy wyrażane pogardliwym obchodzeniem się ze służącymi, musi ów stosunek uczynić przykrym, nieznośnym.

Dziecko, małeńka osobistość odrębna, mająca świadomość swego „ja“ i to świadomość bardzo głęboką, ma też w duszyczce swojej ogromne poszanowanie „ja“ drugiego. Przyjmuje usługi matki i swego otoczenia z radością, z nieświadomą wdzięcznością, i z równą radością niesie drobne swe, nieudolne jeszcze usługi drugim, stara się być pożyteczną osobą, o ile tylko siły jego starczą. Tu wszelako jedno dodam zastrzeżenie: dziecko niesie

usługi swe ochotnie, radośnie wtedy, gdy pochodzą one z jego własnej, nieprzymuszonej woli, gdy są dowodem miłości z jego strony, nigdy zaś jako obowiązkową daninę, należną drugim z prawa. Toż samo dziecko, które właśnie gorzało pragnieniem, żeby matce czy służącej pomagać w kuchni, kawę mleć, coś przesypywać, układać, — toż samo dziecko straci cały swobodny nastrój i dziecięcą wesołość, jeśli podobne zajęcia miałyby wykonywać z rozkazu.

W równej mierze znika zachwycająca, naiwna wdzięczność dziecka za usługi, które, sądzi, pochodzą jedynie z wielkiej ku niemu miłości, z chwilą, gdy dowie się, że ma pewne prawo do tych usług. Niechaj rodzice o tem pamiętają!

Dopóki dziecko zachowuje złudzenie, iż usługi, jakie przyjmuje, dawane mu są tylko z serca, płaci równą monetą, serdecznością za serdeczność i nie rozkazuje, nie żąda, je-no prosi. Można więc przyjąć za zasadę: nauczyć dzieci (które zresztą nie są stroną wynagradzającą), przyjmować usługi, jako niezasłużone dobro i zachęcać je, żeby chętnie odwzajemniały się wedle sił i sposobności. Ztąd wyrodzi się zwolna przyzwyczajenie do pewnej pobłażliwości, która dziecku w przyszłości wielce życie ułatwi, otoczeniu zaś jego nieraz je osłodzi i uprzyjemni. Niech dziecko jak najdłużej nie rozkazuje, niech prosi i niech serdecznością płaci za niesione mu usługi.

Przyznać jednak trzeba, że i służące (mówię przeważnie o kobietach), bywają bardzo różne i nie odnośnie do wszystkich możnaby stosować zasadę, dyktowaną dziecku. Służyć i służyć, — to nie jest jedno. Niekiedy służba bywa obowiązkiem, uznanym za bardzo nieprzyjemny i ciężki, a wykonywanym oburkliwie, niechętnie i niedbale, zawsze z myślą o tem, czy zapłata jest aby wystarczająca

odnośnie do wymaganej pracy, takie spełnianie obowiązków służby musi być dla nas drażniącym i przykrem. Jakże miłemi za to są usługi, niesione nam chętnie, z serdeczną gotowością i zadowoleniem sumiennie spełnionej pracy. Takie oczywiście, pieniędzmi jedynie opłacić się nie dają, za takie oprócz ugodzonego wynagrodzenia, płacić należy sercem i prawdziwą, szczerą życzliwością.

Jeśli w domu naszym są sługi dobre, uczciwe, — a dobór takich i wyrobienie w nich przywiązania do rodziny chlebobawców w poważnej części, ba, nawet prawie wyłącznie, od pani domu zależy, — dziecko powinno widzieć w nich przyjaciół swoich i powziąć ku nim pewien stopień przywiązania (rozumna matka będzie umiała zawsze przywiązaniu temu nadać właściwą miarę). Dziecko, które szczerem uczuciem darzyć będzie umiało domowników, nieraz życzliwie zapyta sługę, jak to było „zanim do nas przyszła“ i przyzwyczajai się powoli wnikać w smutną dolę nieszczęśliwych, którzy dla kawałka chleba osobistą swą swobodę zaprzedać muszą; dorastając, nauczy się, przy pomocy matki czy rodziców, pod działaniem dobrego z ich strony przykładu, rozumieć, że służba — to często gorzki kawałek chleba, że nieraz pewnie serce zciśnie się boleśnie, gdy trzeba być gotową każdemu na rozkazy, i że te wszystkie przykrości, a co więcej brak swobody, jedynie dobrem, życzliwym obejściem osłodzić możemy.

Jeśli dziecko okaże kiedykolwiek ochotę do pomagania przy jakiejś niemilej, to co nazywamy „grubszej“ domowej robocie, nie przeszkadzajmy mu, niechaj to uczyni. Nie idzie za tem, żeby miało odrazu nauczyć się, w jaki sposób to, czy owo powinno być wykonane i z kąd umiało w przyszłości zarządzać odpowiednio, to przesada; ale często przyłożenie własnej rączki do rzeczy przykrej, budzi w duszyczce dziecka niewyraźne uczucie wdzięczności, pomieszane z litością dla tych, którzy zmuszeni są stale spełniać swą niemilą pracę.

Swoboda rozkazywania, poczucie władzy niezmiernie zgubnie oddziałują na duszę dziecka. Rozbudzają niesmaczną, niedorzeczną pychę, ku której, niestety, w każdej przeciętnej naturze ludzkiej aż nadto wiele znajdujemy skłonności i zaprawiają stopniowo: od braku wyrozumiałości aż do okrucieństwa. Najmniej szlachetne skłonności natury naszej wyrastają do potęg, jeśli je wyhoduje świadomość nieograniczonej władzy nad słabszymi.

W świecie dziecięcym zepsucie zaczyna się niekiedy od bardzo drobnych przyczyn, a tych rachujemy na tysiące. Jedno nietaktowne, nie właściwe postąpienie matki, przyznanie dziecku racji i przewagi tam, gdzie ich mieć nie powinno, spaczyć może odrazu dobre zadatki charakteru, albowiem każde dziecko (nie mówię tu o wyjątkowo złem), ma w swej duszy niezmiernie jasne, surowe poczucie sprawiedliwości, i to poczucie zatraci w sobie łącznie, jeśli mu pozwolimy przewodzić nad słabszymi.

Pokaż mi, jak się obchodzisz z podwładnymi tobie, a ja ci powiem, kim jesteś!...

Tam, gdzie dzieci wychowywane są z myślą o późniejszej ich społecznej działalności, stosunek ich ze służbą w domu jest jakby szkołą późniejszego obchodzenia się z szersze-

mi warstwami, przygotowaniem do odczuwania bólów i potrzeb społecznych.

Wszyscy, wiecznie, uczymy się, jedni od drugich. Rodzice od dzieci, wnikać w niewyczerpane subtelności budzących się charakterów, te, rozumie się od rodziców, — służba od chlebobawców, ci od dalszych przykładów i tak coraz dalej i coraz bliżej.

Im większą byłaby liczba „domów“, w których wzajemny stosunek członków gromadki „dom“ stanowiącej, byłby racjonalny, prawdziwie uczciwy, tem społeczeństwo byłoby zdrowsze i silniejsze.

Pamiętajmy o tem, że jesteśmy dziećmi i sługami jednego społeczeństwa, sięgając zaś dalej — jednej ludzkości.

Zofia Seidlerowa.



WNUCZKA.

NOVELLA.



(Ciąg dalszy).

Miał on wiele mogił drogich w życiu, a z żyjących blizkich, tę jedną wnuczkę tylko, jej również on jeden tylko pozostał z tych wszystkich, dla których niegdyś była blizką i przez nich kochaną.

Teraz Orwid, słysząc wnuczkę grającą, powstał i z wolna zbliżał się ku salonowi. Ale oni nie spostrzegli tego, raz, że dywan tłumiał odgłos jego kroków, a powtóre, całkiem byli zajęci uwerturą.

Niepostrzeżony przystanął i patrzył na grającą Karę. Wtedy na pamięć przyszły mu ubiegłe lata, kiedy ta wnuczka była dziewczynką i srebrnym, szczerym śmiechem dziecka napelniała pokoje. Wtedy żyli jeszcze jej rodzice, więc mieszkała z nimi na wsi, a on niekiedy tylko do nich zaglądał i rzadko ją widywał. Potem śmierć zabrała jej ojca, potem matkę, a on ją, dorastającą już dziewczynką, zabrał do Warszawy.

Z dziwną szybkością rozwijał się umysł tego dziecka. Uczyla się niewiele — zawsze wszystko umiała, wieczorami siadała do fortepianu, mała jeszcze, sadowiła się na wysokim krzesle i drobnymi palcami wygrywała dziwne melodye, powstałe w jej dziecięcej głowie. Dorastała — oddała się muzyce wyłącznie z wielkim zapalem, właściwym talentem wybrany i oto wyrosła teraz i grała pięknie.

Jakieś rozczulenie ogarnęło duszę Orwida.

Jakie to było dobre dziecko!

Umysłowo rozwinięta nadzwyczajnie — zachowała aż dotąd szczerą iść dziecięcą. Orwid wiedział, że do tej duszy wyjątkowej nie przyłgnęło nic z tego, co stanowi męty życia. I rzeczywiście, Kara wpatrzona od dzieciństwa w ideały, które wytworzył jej umysł pełen fantazyi, małą styczność miała z tym światem, pełnym zabiegów, intryg, podstępów i kłamstwa.

Grywała — snując przytem marzenia bez końca, improwizowała pieśni, jakieś dziwne tęskne melodye, snujące się jej po głowie; potem spędzała długie chwile na gawędach

z dziadkiem, albo w wesołym gronie koleżanek, a niekiedy kolegów.

Bywała zwykle wesołą w tem kole, lubianą niezmiernie, a przytem otoczona pewnym rodzajem uwielbienia, jakie budził jej niepospolity talent.

Takiem było jej życie.

Teraz umysł jej wyłącznie zaprzątniętym był koncertem, mającym się odbyć za dni kilka. Chodziło jej niezmiernie o to, aby wywiązać się ze swego zadania jak najświetniej. Przedewszystkiem pragnęła ucieszyć Hellego, którego nie tylko uwielbiała, ale i kochała, a powtóre pragnęła nowym blaskiem okryć swoje imię. Ufała w swój talent i kochała go, jako dar od Boga największy, a sercu jej najdroższy.

W przeddzień koncertu, w sali Konserwatorium, gdzie zwykle odbywały się ćwiczenia, siedzieli Kara i Niemirowicz, żywą zajęci dysputą.

— Wie pan — mówiła Kara, — będziemy jutro grali „Oberona“ z pamięci...

Uczynił zdumioną minę.

— Niech pani nie żartuje. Będę rad, jeżeli z nut odegramy jako tako... To byłoby szaleństwem...

— Jak można być tak lęklwym, tak własnym siłom nie ufać!... jestem pewna, że poszłoby znakomicie...

Zrazu Niemirowicz ani słuchać o tem nie chciał, co niezmiernie Karę gniewało, lubiła ona trochę popisować się swym talentem. I oto teraz pragnęła tem więcej grać z pamięci, że to było rzeczą niełatwą wobec krótkiego już przeciągu czasu, i że ani Helle, ani nikt z kolegów tego się nie spodziewał.

Nakłoniła jednak Jerzego, że odłożyli nuty i spróbowali. Szło niepewno, ale grali do końca, więc powtórzyli jeszcze kilka razy, w końcu Kara postawiła na swoim.

Kara lubiła Niemirowicza najwięcej z pomiędzy kolegów i sympatya ta zdawała się być wzajemną. Była to jednak sympatya li tylko koleżeńska, zaprawiona niekiedy odrobiną flirtu.

Nie kochała dotąd nikogo. Natomiast w umyśle jej, już samo przez się do marzeń skłonny, pojawiało się marzenie jakieś o uczuciu wielkiem i szerokim, co ogarnia i zapełnia wyłącznie duszę człowieka. Bywało, że te marzenia wyraźniejsze jakieś przybierały kształty, wówczas przed oczyma jej duszy pojawiała się jakaś twarz idealnie piękna, o smutnym, ciemnym wejrzeniu. Była to twarz człowieka, którego ani znała, ani kiedykolwiek w życiu widziała. Ale słyszała o nim. Nazywał się Zygmunt Kończyc. Wiedziała, że był pięknym niesłychanie, że w młodym bardzo wieku podbijał światy wiedzy, że wzbudzał podziw, miłość u kobiet, że niepamiętny jutra pił nektar wszystkich uciech i rozkoszy życia...

Tyle jej o nim mówiono.

Ale potem twarz tego człowieka, którego widziała tylko na wizerunku, powiedziała jej jeszcze co innego.

Oto ona w spojrzeniu pięknych jego oczu odgadła jakąś tęsknotę, właściwą duszom marzycielskim, odgadła jakiś smutek, co zapełnia niektóre serca ludzkie, które nie na-

potkały w życiu tego, czego szukały, ani doszły dokąd zamierzały.

Kara z własnego doświadczenia wiedziała, jak pali taka tęsknota, która nie wie za czem tęskni, jak ciąży sercu żal taki, który nie wie, czego żałuje, jak gryzą łzy, które nie mają po czem płakać. A wiedziała, że takie smutki i żale spływają niekiedy na dusze niespodzianie, kiedy człowiek w samotne wieczory oddaje się wewnętrznym rozmyślaniom.

Bywało często — Kara siadła do fortepianu i wtedy z pod jej palców płynie jakaś ballada o tym nieznanym, za którym bezwiednie tęskni. Takie ballady, niegdyś dzieckiem będąc, improwizowała z myślą o pieknym rycerzu w czarnej zbroi, którego obraz wisiał na ścianie jej dziecięcego pokoju, przedstawiający chwilę, gdy czarny rycerz na czarnym koniu rzuca się w spienione fale Elstery.

* * *

W sobotę około ósmej wieczorem weszła Kara ubrana w biały jedwab, do jednej z mniejszych sal Konserwatorium, gdzie spodziewała się zastać Niemirowicza. Jakoż nie omyliła się; przechadzał się wzdłuż pokoju, ubrany we frak, a znać było po nim pewne zniecierpliwienie, wywołane, być może, pewną „tremą“, właściwą artystom przed występem. Jej również serce biło mocno, ale nie okazywała tego. Zajęci swymi myślami, omal nie zapomnieli się przywitać.

— Ma pani nuty? — zagadnął ją Niemirowicz zaraz przy wejściu.

— Nie mam. Na cóż nam nuty? Wszak będziemy grali z pamięci.

Niemirowicz przystanął nagle i rzekł desperacko:

— Dalibóg, nie wiem nawet, jak się ta uwertura zaczyna...

Ona tymczasem chcąc jemu, a zapewne i sobie, dodać fantazyi, przybliżyła się do stojącego tamże fortepianu i uderzyła pierwsze tony:

— Teraz się panu przypomina, co? — spytała, śmiejąc się.

On uśmiechnął się także, wreszcie rzekł:

— My tu swobodnie żartujemy, ale nie wiem, jakie będziemy mieli miny po koncercie.

— Wspaniale, zobaczy pan! — przerwała Kara.

Ale gdy w chwilę potem ukazali się na estradzie, jej również pociemniało w oczach. Gdyby to tylko o nią chodziło! Ale cóżby powiedział Niemirowicz, gdyby gra ich zrobiła fiasco?... Wtedy słusznie jej przypisałby całą winę.

Kara rzuciła okiem po sali i wzrok jej spotkał spojrzenie Hellego, pełne dobroci i zachęty. Uśmiechnęła się do niego nieznacznie i jakoś raźniej uczyniło się jej na duszy. Na sali cisza była zupełna. Słuchacze z wyczekującą twarzą i wzrokiem utkwionym w estradę — czekali.

Wtedy w ciszy odezwało się kilka tonów pojedynczych, tak „piano“ wygranych, jakby spłynęły z kądzielskiej niespodzianie, a nie palcami wykonanej na instrumencie. Tęsknota łączyły się i wiązały w całość i poważna melodia uwertury snuła się dalej, ku wielkiemu zadowoleniu słuchaczy. Potem „fortissimo“, jak grad pereł posypały się passaże, i znowu me-

lodya snuła się dalej „con fuoco“, aż wreszcie ucichła.

Sala zagrziała jednym ogromnym wybuchem oklasków, tłumiącym coraz częściej powtarzane „bis, bis!“

Ale Niemirowicz szepnął Karze:

— Chodźmy ztąd!

— Chodźmy! — powtórzyła.

I zeszli z estrady.

— A co? — zapytała upojona Kara.

— Świetnie! — odparł Jerzy.

Wyczerpani silnem wrażeniem odniesionego sukcesu — milczeli.

Helle pojawił się za chwilę, dziękując obojgu i wyrażając swe uznanie.

Ale ona niewiele z tego rozumiała.

Wśród gwaru, pochwał, powodzenia, jakaś rzewność spłynęła jej do serca, odczuła swoją samotność, zapragnęła mieć przy sobie jaką bliską i przyjazną duszę.

Wsparała głowę na rękę i zadumała się. Przyszło jej na myśl, że może Niemirowicz jest tem przyjaznem sercem, że żywi może dla niej jakie żywsze uczucie. Lubiała go bardzo. Być może, że gdyby nie owo smutne wejrzenie tamtego, co stało między nimi, byłaby Niemirowicza kochała. Ale wobec przeświadczenia, że tamtego spotka kiedyś w życiu, nie było to możliwem.

— Co pani jest? — zbudził ją głos Niemirowicza.

Podniosła na niego błękitne swe oczy i spotkała jego wejrzenie. I w tej chwili pomyślała, że nie tak patrzą na siebie ludzie, których dusze się rozumieją i choćby z przeciwnych krańców świata lecą ku sobie.

To też zbudzona, jakby ze snu, odparła:

— Nic mi nie jest. Tak sobie dumalam.

— O czem?... — zapytał.

Nie odpowiedziała. Bo o czem właściwie myśli wtedy człowiek, gdy w piersi jego odezwie się tęsknota za jakimś sercem drogiem, któreby się pragnęło mieć jedynie i wyłącznie dla siebie na ziemi.

II.

Przy ciągłej pracy szybko zchodziły Orwidownie dni, tygodnie i miesiące, i ani się spostrzegła, jak śniegi stopniały, a powietrze przepelnilo się ozywczem tchnieniem wiosny. Wychowana na wsi, zatęskniła za przestronnymi polami, gdzie umysł swobodniejszy, a serce szczęśliwsze.

Kara podczas wakacji zwykle wyjeżdżała do rodziny ojca, teraz na zbliżające się wakacje Wielkiej-Nocy otrzymała zaproszenie od krewnej swej matki, do Kaliniec. Niegdyś, dzieckiem jeszcze będąc, bawiła tam z matką kilkakrotnie, później z jej śmiercią, stosunki się niemal zerwały. Jednakże Kara, żadna wrażeń, pragnąca przytem odnowić stosunki z rodziną matki, postanowiła jechać.

Jakoż w piękny jakiś wieczór kwietniowy, szeroką drogą topolami wysadzaną, wiozł ją powóz zamknięty ze stacyi kolejowej, w stronę Kaliniec.

Księżyc jasno świecił, Kara przyłożywszy czoło do szyby powozu, dumiała. Myśl jej zwracała się ku Warszawie, do dziadka, który nie chcąc odrywać się od umiłowanej pra-

cy literackiej, rzadko kiedy wnucze towarzyszył.

Marceli Orwid był niegdyś professorem, teraz, wolny od zajęć, z książką i piórem nie rozstawał się nigdy. Kara, przywykła od lat tyłu spędzać z nim wieczory, mimowoli stawiała sobie pytanie, co robi teraz? Czy może — zawsze troskliwy o losy wnuczki, — myśli teraz o niej?

To znowu myśl jej zwracała się do Hellego, który rozstając się z nią na czas wakacji, nie szczędził jej pochwał, ani wyrazów uznania.

Potem znowu w pamięci jej stanął Niemirowicz, wspomnienie lekcyi, gry wspólnej i ostatniego koncertu.

Czuła, że powinna być szczęśliwą. Zyskała za talent — podziw, za pracę — uznanie. A jednak, temu zadowoleniu, co było w jej sercu, czegoś nie dostawało. Może tęskniła za czemś wielkiem i potężnem, coby wypełniało całkowicie jej duszę.

Bywają dusze ludzkie od innych odmienne, bo głębsze, które więcej objąć muszą, niż wypadki codziennego życia, bo inaczej czują pustkę i tęsknotę, co w dzień odbiera wesołość, a o szarej godzinie łzami oczy przysłania.

Kara z głową wspartą o okno powozu dumiała, a w tej ciszy wieczoru do serca jej spłynął ów dobrze jej znany smutek — nieodstępny towarzysz wszystkich dusz marzycielskich. Może bywa on niekiedy przecuciem smutnej przyszłości!

A przecież Karę brała ciekawość przed tą przyszłością nieznaną, parła nią chęć nieprzeparta, aby w przyszłości onej doznać tego, czego dotąd nie знаła, a co może było tem, za czem gorąco tęskniła.

Powóz wiozł ją szeroką drogą topolami wysadzaną do Kalinieckiego dworu, którego białawe ściany ujrzała Kara przy świetle księżyca, widniejące z pomiędzy świerków, rosnących przed dworem.

Oboje Kalinieccy ucieszyli się z przyjazdu gościa i wybiegli witać ją na werandę. On, blondyn, z dużemi wąsami, ona mała, trochę gruba, trochę nieładna, lecz mimo to szykowna i miła.

Kara przywitała ciotkę, na młodego wuja spojrziała nieco zmieszana.

— Cóż to? namyślasz się... — spytał Kaliniecki, — krewnym ci jestem, a tyś dla mnie kuzynką miłą, uściskaj mnie!

I wziął ją w objęcia.

A Karze dobrze było z nimi. Duszę miała wykwinaną, ale szczerą! Więc na widok ich serdeczności, jakby coś stajało w jej duszy. Nic jej tak nie wzruszało, jak dobroć ludzka jej okazana.

Kalinieccy byli to ludzie dobrzy, ale tacy, którzy przedewszystkiem pragnęli się bawić.

To też dwór Kaliniecki często rzeświście był oświetlony, pełen muzyki, tańców, rozmów i gwaru ludzkiego. Znalazła się więc Kara w innem, nieznanem jej dotąd otoczeniu. Dotychczas mało żyła z ludźmi, którzy się tylko bawią i śmieją, teraz znalazłszy się pomiędzy nimi, zanurzyła się w tem życiu nieznanem, pełnem wesołości i zabawy.

Ale wtedy, znajdując się wśród tych ludzi

swobodnych, uczyła, że nietylko nie ją z nimi nie łączyło, ale, że na dnie jej duszy było coś, co ją od tych śmiejących się oddalało, i niespokojnie myśl jej wyrwało z koła wesołości i śmiechu.

Pewnego wieczoru, w dość późnej porze, w wielkim salonie Kalinieckich bawiło się dużo gości. Było tam i kilku młodych ludzi i kilka panien świeżych, strojnych, uśmiechniętych. Wyróżniała się smukła postać Kary, jej twarz bladawa i inteligentna, zadumane czoło, natehnione spojrzenie.

Godzina była późna — z gości nie spodziewano się więcej nikogo. To też uczyniło się zamieszanie w salonie i wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom, gdy najniespodziewaniej służący zameldował przybyłego.

— Pan Zygmunt Kończyc! — rozległ się głos, zwiastujący przybycie gościa.

— Zygmunt wrócił! — rzekł Kaliniecki do żony i wybiegł na powitanie Kończyca.

Na dźwięk tego nazwiska Karze pociemniało w oczach.

Trzy długie lata spędziła z myślą o nim, pragnęła poznać tego człowieka, którego smutek rozlany na jego twarzy, budził w jej sercu oddźwięk żywy. Tęskniła doń, nie wiedząc, czy go spotka kiedy, nie wiedząc nawet, czy żyje, gdzie jest, co robi?

Na środku salonu ukazał się człowiek młody, smukły a piękny, że Karze serce zamarło z podziwu. Włos miał lśniący, czarny, rozwiany na bladym czole, oczy ciemne, twarz szczupłą, na której igrał nieznaczny uśmiech, świadomy swego uroku.

Ale ten piękny i wytworny Kończyc zdawał się nie być tym Zygmuntem, o którym marzyła Kara w chwilach samotności i ciszy.

Z twarzy jego wyglądał charakter wesoły, umysł lekkomyślny, zepsuty życiem, powodzeniem, szczęściem, ale w twarzy tej nie było ani dobroci, ani smutku.

Złożył głęboki ukłon obecnym i głosem swobodnym ją opowiadać, jak wrócił tego dnia z drogi, jak stęskniony za wesołym towarzystwem, postanowił, choć późno, udać się do Kaliniec.

Z przybyciem Kończyca inny duch zapanaował w salonie. Kobiety patrzyły na niego podnieconemi oczyma, młode panny tłumili westchnienia, a nawet mężczyźni garnęli się do niego z dziwnym upodobaniem.

Mówił dużo, płynnie, swobodnie, głosem dźwięcznym, z rozmową zwracał się do wszystkich, w końcu zapalił papierosa i usiadł obok pewnej interesującej blondynki.

Nie wiedział, że z po za rozłożystej palmy sledził go wzrok Orwidówny.

Kara z ożywioną twarzą, szeroko rozwartymi oczyma patrzyła uparcie niemal w twarz tego pięknego człowieka, jakby ujrzyć na niej chciała ten szczególny wyraz, który ją tak zajął, a którego teraz w twarzy tej nie było.

Zapagnęła gorąco zwrócić na siebie uwagę Kończyca, więc siadła do fortepianu i z niesłychaną brawurą poczęła grać fantazję Thalberga, budząc ogólny podziw. Jakoż w salonie uczyniło się cicho. Wtedy Kara urwała nagle i z pod palców popłynęło owo rzewne „Impromptu“ Ges-dur Chopina, które snąc wszystkim przemówiło do serca, bo nikt nie myślał przerywać ciszy, jeno gło-

wę pochyliwszy, każdy zdawał się dobywać jakieś wspomnienia.

Kara skończywszy grę swoją wstała i wzrok swój zatrzymała na twarzy Kończyca. Siedział z pochylonym czołem, ze wzrokiem w dal utkwionym, jak gdyby w przeszłości swej może czegoś szukał i znaleźć pragnął. Dawny wesoły wyraz jego twarzy zniknął i ustąpił miejsca jakiemuś rozmarzeniu czy zadumie. Takim był w tej chwili, jakim w myślach swoich nieraz widywała go Kara; więc serce poczęło jej bić w piersiach, jak w zmęczonym ptaku, ale zarazem jakieś zadowolenie przepełniło jej duszę. Więc takim był ten człowiek, jakim ona, nie znając go, odgadła...

Pomyślała, że grą swoją przemówiła wyraźniej do duszy jego, niż ktokolwiekby przemówić potrafił.

Miała ona naturę cichą, skupioną w sobie nie było w niej nic z tej śmiesznej zarozumiałości, która cechuje ludzi małej duszy; czuła jednak, że ponad tych ludzi dobrych, ale przeważnie banalnych, wynosiła ją poezja, co przepełniała jej serce; czuła w sobie talent, co jak siła nieprzeparta, pchał ją naprzód, ku rzeczom niezwykłym, a młode jej czoło kazał nosić wysoko...

Ci wszyscy ludzie mieli Kończyca za wesołego światowca, któremu może zazdrościli powodzenia; ona jedna w życiu jego odgadła smutek.

Kara usiadła na poprzednim miejscu, zasuwając się po za rozłożyste liście palmowego drzewa i posyłając niekiedy spojrzenia w stronę Kończyca, snuła dalej wątek swych myśli.

Dziwnem było marzenie jej tyloletnie o tym nieznanym. Na dźwięk imienia jego, serce jej żywszem uderzyło tętnem, a dusza leciała ku niemu. I oto teraz był obok niej, tylko mówić do niego nie mogła, bo ludzie otaczają ich dokoła, ludzie obcy, którzy w tej chwili wydali się jej bezmyślnymi.

Ale serce jej silniej biło na myśl, że przyjdzie chwila, w której ona powie Kończycowi wiele, wiele rzeczy... które dotąd mówiła tylko sobie w ciche, samotne wieczory.

Tymczasem goście poczęli się rozjeżdżać. Pozostał tylko Kończyc.

Kalinieccy przeprowadzili odjeżdżających do przedpokoju, a oni zostali sami. Wtedy on, bez namysłu przybliżył się do niej i ująwszy jej rękę, począł je gorąco całować.

— Tak cudnie pani grała! — wyszeptał.

I stała się rzecz dziwna! Kiedy był tak blisko niej i swemi marzącymi oczyma szukał jej wzroku, wtedy ogarnął ją jakiś niepokój i moc niewidzialna odtrąciła ją od niego. Wyrwała mu rękę i cofnęła się o kilka kroków.

Kalinieccy wracali właśnie do salonu.

Halina Ada.

(Ciąg dalszy nastąpi).



SONETY.



I.

Bajka.

Mówiono mu, że w zamku, co na górze szklanej
Dumnemi sterczy baszty do jasnego słońca,
Na łożu — wśród czerwieni i koronek piany —
Od dwustu lat spoczywa w śnie królewna spiąca.

Mówiono mu, że dosyć złożyć na jej twarzy
Gorący i serdeczny całunek miłości —
A znowu ogniem życia wzrok jej się rozżarzy
I miłość dla wybrańca w sercu jej zagości.

Mówiono mu — więc ruszył spragniony kochania
I — gdzie legł cały zastęp odważnych rycerzy —
Wdziera się w górę stromą a zawrotną drogą...

Wdarł się na szczyt. Do zamku nikt mu wejść nie

[wzbrania,

Olśnił go przepych... Biegnie, gdzie królewna leży...
Szuka wszędzie — daremno — nie znalazł nikogo...

II.

Na nowe życie.

Na uzdrowionem z długich cierpień łonie
Strunym nawiązał, jak na harfy drewnie,
I rozpuściłem po nich drżące dłonie,
Aby dzwoniły potężnie i pewnie...

Niechaj wydzwonią tę cichą tęsknotę,
Co usta moje na skargi zamknęła;
Niechaj wydzwonią te sny szczerzo-złote,
W których ujrzalem projekt mego dzieła;

Niechaj wydzwonią te pałace znoje
I te męczarnie pracy cyklopowej,
Kiedym fundament kładł przyszłej budowy...

Ale witając dawnych wspomnień gości,
Na jedno niechaj mileczą struny moje:
Na szept minionej, młodzieńczej miłości!

III.

Orzeł.

Obrzydły mu gór szczyty i ziemia mu zbrzydła,
Odkąd raz dumnym okiem spojrzal niebu w lico,
Więc spragniony przestrzeni rozwił na lot skrzydła
I wznosił się nad gór śniegi, co w słońcu się świecą.

Powódź krwi ogniem wrzącej biła mu do skroni,
Gdy na wietrze wypręzał potężne raniona,
I wzniesiony nad ziemię, zapominał o niej,
Chwytając bezmiar woli całą pełnią łona...

Ziemia ginęła w dali... Ptak po długim locie
Uczul, że skrzydła jego tracą moc stopniowo,
A nie miał miejsca, gdzieby mógł spocząć znużony...

Spojrzal wtedy na ziemię, co w zachodu zlocie
Gorzala wśród błękitu barwą rubinową,
I zleciał — bo i orzeł do ziemi stworzony...

K. P. Lan.



HISTORIA KOBIECY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



Kobieta świata klasycznego.

Greczynka. Rzymianka.

GRECZYŃKA.

Skończyło się pierwsze stadyum postępowej ewolucji ludzkości: społeczeństwa starożytnego Wschodu odegrały swoją rolę i usunęły się na stronę resztką swych soków karmiąc już tylko wątłe pędy, z ich spróchniałych pni wyrastające. Na pierwszy plan wystąpiły ludy drugiego stadyum — ukazała się na widowni społecznej Hellada, potem Roma. Stadya te nie były poprostu tylko przebywaną drogą, przeżywanymi tysiącoleciami; by żaden byt ograniczony — pojedynczy, czy też zbiorowy — nie począł się nigdy po to tylko, aby być, lecz zawsze po to, aby stać się szczeblem, krokiem, fazą, aby gdzieś iść i do czegoś prowadzić; do czegoś, — co po szeregu faz coraz doskonalszych, stania się nakoniec takim, jakim być musi, aby harmonijnie wejść w plan olbrzymiego całokształtu wszechświata.

Tak dzieje się w świecie materyalnym — i tak samo w świecie duchowym.

W początku fizycznym zjawiała się najpierw rzecz bezwładna i bezkształtna, ciemna i ślepa — materya. Później wystąpiło coś, co choć niewidzialne i nieujęte, materyę pchnęło w ruch, rozplomiło i uformowało, — a była to siła. Dalej, w urobionej już przez siłę materyi drgnął zaczątkowany dech żywota — w mórz otchłani skurczyła się i rozprężyła ameba, na łądów powierzchni wyciągnęły szorstkie płatki ku słońcu porosty — i zapłodniona matka-natura poczęła formować coraz kunsztowniejsze ogniwa łańcucha jestestw organicznych. Nakoniec Moc Twórcza uśmiechnęła się z zadowoleniem do swego dzieła, widząc, że „było dobre;“ — było tak dobre, iż przyszła pora wykończyć pierwszą część planu, — więc wystąpiła z interwencją bezpośrednią po raz trzeci — i w najwyższy szczebel drabiny tchnęła dech żywota mądry, wolny i niezniszczalny, do Niej — do Mocy Twórczej podobny.

W takimże porządku i w analogicznym łańdźcu następowały po sobie fazy drugiego rozdziału w księdze istnienia — fazy stopniowego rozwoju zbiorowego ducha ludzkości.

I ludzkość była także mgławicą, rządzoną przez ślepe siły elementarne; i była potem protoplazmą, w której budziły się dreszcze życia i uczucia; i stała się nareszcie organizmem uświadomionym i uduchowionym, któremu pozostaje jeszcze dojść do wcielenia swych ideałów w czyn.

W pierwszej fazie ewolucji społecznego ducha, duch ten, wcielony w pra-ludzkość wschodnią, tak jeszcze grubo oblepiała glina, że główną cechą owej ludzkości była żywiołowa, dzika energia, której objawami — ślepa

moc i przemoc. I był to okres siły brutalnej, po nim nastąpiła faza, w której rozum, wypierając zwolna ślepą siłę z pierwszorzędnego stanowiska, stał się sam, u ludzkości świata klasycznego, wszelkiej działalności regulatorem. I był to okres mądrości, przejawiającej się w Grecyi jako filozofia i estetyka, w Rzymie jako polityka i socjologia. Ale mądrość bez miłości nie może przeciw samolubnym instynktom człowieka. Grecka wyłączność plemienna po za Hellenami nie uznawała ludzi, resztę świata zbywając pogardliwym uśmiechem, a zaś rzymski egoizm państwowy osiągnął szczytu bezwzględności. Więc przyszła faza trzecia — okres wszechmiłowania.

Przed okiem ludzkości, zmęczonej brutalnością siły i próżnią mądrości, zarysowała się na tle malowniczych brzegów pięknego jeziora wysoka postać męża długowłosego w niebieskim płaszczu, podobna do tej, jaką wymarzył czarodziejski pendzel Tycjana i Leonarda. Przed mężem tym stanął człowiek pół chytry, a pół niespokojnie ciekawy — typowy przedstawiciel epoki — i zapytał:

— Nauczycielu! któż jest moim bliźnim?

A nauczyciel odpowiedział:

— Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycho i wpadł na zbójców...

Opowiedzenie tej przypowieści stało się punktem zwrotnym w psychicznej historii społeczeństwa. Postępek miłosiernego Samarytanina, rzucony jak ziarno nieznanego dotąd idei w duszę ludzką, wstrząsnął ją, zbudził i przetał jej oczy. Z ziarna wyrosło drzewo rozłożyste i ogarnęło świat cywilizowany. I oto niema ani jednego kulturalnego człowieka, któryby śmiał zaprzeczyć prawu wszechmiłości. Na zapytanie: „Kto jest bliźnim?“ każdy, nie zwyrodniał moralnie, jedno odpowie: bliźnim jest swój i obcy, druh i wróg, dobry i zły; i dłużnym jest każdy człowiek drugiemu człowiekowi jakąś cząstkę serca miłosiernego, bez względu na to, kim jest drugi człowiek: Papuas i Eskimos — to osoby nam bliskie, za którymi powinniśmy skoczyć w ogień i w wodę, gdyby potrzebowały pomocy.

Taką jest teoria, którą uznajemy wszyscy. — A praktyka?

To należy do czwartej fazy w psychicznej ewolucji ludzkości, do wcielenia powszechnie uznanych ideałów w czyn, do przeprowadzenia humanitaryzmu z idei w życie.

Będzie to okres — a raczej jest, bo już się zaczął — przebudowania starego świata na wygodny dom dla wszystkich dzieci jednego Ojca.

Grecy, rozumie się, nie wskoczyli w fazę mądrości równymi nogami, tylko wchodzili w nią krok za krokiem, ale kroki te były wielkie i spieszne, — w sto lat robili więcej, niż ludy poprzedniej fazy w tysiącolecie. Szczepili na gotowej już płonce, dzikiej lecz bujnej, a przesadzonej na grunt bardzo żyzny, a więc szło bardzo prędko.

Dlaczego właściwie Hellenowie zostali pierwszymi Europejczykami? Czemu na szafiry Archipelagu nie popłynęli pierwsi Aryowie, inni, naprzykład Germanowie albo Słowianie — i coby było z tego wynikło dla Zachodniego świata?

Zdaje się, że jestto jeden z tych faktów, których niepodobna wytłómaczyć rozumowo, które są takimi, jakimi być muszą, bo inni być nie mogą.

Dlaczego z trzech pięknych siostr ta — nie tamta wyszła do lasu po poziomki wtedy, kiedy się w nim zabłąkał król, o sercu miłości spragnionem?

Dlaczego to był król, a nie paź jego, albo młody węglarz?

Doktryna determinizmu dziejowego jest o tyle prawdziwą, o ile uznaje, że chociaż najczęściej fakty życiowe i bytowe zjawiska popycha jakiś mocny palec tylko po pochylej drodze racjonalnej przyczynowości, jednakże bywa też czasami, że popchnie je gdzieś jedynie dlatego, iż tak chce — i że tak być musi. Skonstutowali to już Grecy — i nadali tej niewidzialnej ręce imię: „Ananke.“

Czteroletni Józio bawi się z przyjaciółmi domu psem i kotem. Po chwili przestaje się bawić, zamysła się, wytrzeszczając swoje niezabudki, w jakąś przestrzeń, gdzie mu ciemno, nakoniec pyta:

— Mamusiu! dlaczego piesek nie jest kotkiem, a kotek pieskiem?

Mamusia najpierw się śmieje, potem próbuje coś odpowiedzieć:

— Bo... bo widzisz kochanie...

Ani rusz dalej!

— Tatusiu! woła na pomoc, wytłómacz Józiowi, dlaczego pies nie jest kotem, a kot psem?

Tatus najpierw brwi podniósł, potem brwi zsunął — i nic...

Wtem z drugiego pokoju nadjeżdża Bobus na patyku z końską główką.

Bobus ma dwa lata. Ciekawość jego nie wkroczyła jeszcze, — jak w wieku Józia — w sferę abstrakcyi, lecz zadawania się konkretnem dochodzeniem, jak się drze papier, jak szkło się tłucze i t. p.

Tatus dwoma palcami osadził bobusiowego wierzchowca tuż przed Józiem, z dziecinnem marudztwem powtarzającym swoje w kółko.

— Zapytaj Bobusia! mówi tatus poważnie, mrugając jednocześnie na mamusię.

— Bobusiu — pyta Józio seryo, — niech Bobus powie Józiowi, dlaczego piesek nie jest kotkiem, a kotek pieskiem?

Bobus otwiera buzię, wkłada w nią paluszki, patrzy na psa, na kota, wyjmując paluszki i wygłasza z przekonaniem:

— Bo dlatego!

Potem zawraca patyk i odjeżdża, ze stanowczą determinacją nie powracania do rozwiązane zagadnienia.

— Bo dlatego — powtarza po nim Józio, i zaspokojony w zupełności, przechodzi po nad kwestyą do porządku dziennego.

Są rzeczy, względem których wszyscyśmy Bobusie.

Stało się tedy szczęśliwie, że na rajskie wyspy i półwyspy Egejskiego morza przywędrowali nie jacyś Turanie, którzy byliby się zachowali odpornie względem wpływów miejscowej przyrody, lecz aryjsey Hellenowie, o plemiennym charakterze, podatnym do przyjęcia tych wpływów, które zrobiły z nich nasyżych intelektualnych protoplastów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NASZ KWESTYONARYUSZ MACIERZYŃSKI.



IV.

Kto winien? Kto ma zasługę?

W każdym sporze zwykle obie strony są winne i obie po części mają słuszość. Zabierać głos w sprawie małżeństwa i rzecz swoją zaczynać od kwestyi sporu, jest-że to złośliwością czy uprzedzeniem? Bynajmniej. Nie chcę przez to powiedzieć, aby święta instytucja małżeńska była kłótnią i wojną dożywotnią (choć i tak bywa), nie chcę zapatrywać się na małżonków, jak na strony walczące; pragnę tylko zaznaczyć, że jeśli w małżeństwie są niezgody, to zwykle winne obie strony, a jeśli panuje harmonia, to obie mają zasługę, bo stosunki ludzkie oparte są na wymianie, nie nam nie przychodzi darmo, nawet szczęście, o którym powiadają, że go człowiek ze sobą przynosi. Właściwie nie *ze sobą*, ale *w sobie*.

Dlatego jeden i ten sam mężczyzna może być bardzo dobrym i bardzo złym mężem, nie jednocześnie, lecz w porządku kolejnym, jak to widzimy na rozwodnikach i wdowcach. Jedna kobieta umiała wydobyć z jego duszy to, co w niej było lepszego, druga nie potrafiła zapuścić takiej sondy. Więc i zasługa i wina były zobopólne. Gdyby nawet rzeczy nieuchwytnie: usterki i przymioty można było ważyć, jak pieprz lub cukier, i wtedy jeszcze, stosując ten eksperyment do kilkudziesięciu stadeł, nie łatwo byłoby wyprowadzić wnioski: czy mąż czy żona przyczynili się w większej mierze do harmonii domowej, gdyż nieraz przymioty — a właściwie nadmiar ich — wady przymiotów, że tak powiem, sprowadzają rozdzwięk. I tak naprzykład korona wszystkich cnót—dobroć, może łatwo przejść w słabość i słamazarstwo, to jakby cukier rozcieńczony w wodzie; kobiety nie lubią tej wody cukrowej, a nie tylko słamazarstwa, lecz i prawdziwej dobroci w mężczyznach. Można by sądzić, że zazdrosne są o ten swój przywilej i że mszczą się na jego przywłaszczycielach, ofiarując im wzamian niewdzięczność. *Dobrzy* mężowie miewają zwykle *złe* żony, nie mówiąc już o mężach *słabych*, bo ci na swój los zasługują. Zbytnią pobłażliwość zwykle mści się na tych, którzy ją uprawiają, doprowadza jedną stronę do depantania obowiązków, drugą do gorzkiego zawodu, jedną czyni wyzyskującą, drugą—wyzyskiwaną. Tylko natury wyższe, jednostki subtelne wychodzą zwycięzko z próby otrzymanej dobroci. Żony zbyt dobrych, czyli słabych mężów, stają się kapryśnicami, rozrutnicami i kokietkami; liczą na nieprzebraną pobłażliwość i nadużywają jej. Więc obie strony są winne. Oto jeden przykład z pośród wielu: Znałam małżeństwo na pozór dobrane, albowiem o „dobranu,” wedle ludzkich sądów, stanowią: wiek, stanowisko społeczne, a nawet wzrost, tusza i powierzchowność. O usposobienie mniejsza—te dopasują się z czasem. Ale bywa to nieraz tak trudne, jak niskiemu mężowi dorosnąć do wysokości żony, lub tłustej żonie schudnąć, do rozmiarów szczupłego męża. Otóż to dobrane stadło połączyło się niby z „miłości,” wszystkie wróżki zostały zaproszone na gody, zapomniano tylko o jednej, o najpośledniejszej może, o pani wdzięcznego serca. Przez pierwsze miesiące, a nawet lata, młodzi małżonkowie kochali się z upojeniem — on zgadywał jej myśli, ona była temu rada i w swej łaskawości utrudniała mu tę pracę, wyrażając coraz nowe życzenia, spełniane zawsze skwapliwie. Z początku życzenia były rozsądne,

a gdy temi być przestały, mąż próbował stawić opór. Wtedy, jak na zawołanie, żona doświadczała bólów głowy, osłabień. Jakże walczyć z takim biedactwem! Ustępował. Pani lubiła się bawić;—nie w tem złego, woził ją na bale, cieszył się, że wraca wesoła. Ale przesyciła się tem wkrótce. Zapragnęła zwiedzać obce kraje, ale i to ją znudziło, zaczęła chorować na nerwy, kaprysić. On wciąż jej dogadzał. Była dla niego coraz chłodniejsza i wiecznie niezadowolona. Łamał sobie głowę, co jej się stało. Aż wreszcie pewnego dnia rzekła mu: „Wiesz, zrozumiałam dlaczego mi źle z tobą. Ty jesteś stanowczo za dobry. Sama już nie wiem, czego chceć, bo dajesz mi wszystko, czego pragnę. To mnie nudzi! Gdybyśmy żyli dłużej, mogłabym cię znienawidzić. Rozstańmy się, póki czas.”

I rozstali się—on dopomógł jej w przeprowadzeniu akcji rozwodowej (nie mieli dzieci), wyszła powtórnie za mąż, za człowieka, który ją brutalizuje, zdradza, zamyka w domu. Pomimo tego ona go kocha i już nie choruje na nerwy, dba o jego wygody, i rzecz niepojęta, czuje się szczęśliwszą, niż z pierwszym, choć nieraz płacze—nie z kaprysu. Potrzebowała silnej pięści, a nie aksamitnej dłoni. Miała duszę pokojówki, a tamten traktował ją, jak boginię.

Było im źle ze sobą — wina była po obu stronach, on się na niej nie poznał, a ona na nim. Jedno grzeszyło brakiem szlachetności, drugie — jej nadmiarem. Nie należy jednak wyprowadzać ztąd wniosku, że tylko kobiety nadużywają dobroci, graniczącej ze słabością.

Oto drugi przykład:

Znałam małżeństwo początkowo zgodne, dlatego, że żona gotowa była do wszelkich ustępstw, zmiatała pyłki przed mężem, wniósłszy mu ogromny majątek, obdarzyła nieograniczoną plenipotencją. Rodzina ostrzegała ją, że pieniądze idą na karty i hulanki—nie nie pomogło, aż wreszcie zlicytowano majątek, żona z dziećmi została prawie bez środków do życia, a pan mąż za resztę ocalonego kapitału pojechał do Monte-Carlo z damą z półświatka. Opuszczona i zawiedziona małżonka ciężką pracą okupiła swą winę, ludzie ją uważają za ofiarę — tak, ale chyba ofiarę własnej słabości, karygodnej nie tylko wobec dzieci i siebie, lecz i wobec męża, który potrzebował także kierunku, i nie byłby się może zmarnował, gdyby potrafiła położyć tamę jego wybrykom i nie osłaniała ich pobłażliwością.

Oba te wypadki i wiele innych, którebyśmy mogli przytoczyć, dowodzą nie tylko *winy obustronnej*, lecz wskazują jej powód: brak znajomości drugiej strony. Małżonkowie żyją nieraz ze sobą przez lata całe, a jedno o drugim wie tylko, jaki ma kolor włosów, oczu, jakie przyzwyczajenia, ulubione potrawy, ale nie zaglądają sobie nigdy do dna duszy, nie wiedzą, jakie tam są ukryte myśli, nie zglębiają charakterów, usposobień. Mężczyźni, nawet rozumni, są daleko mniej skłonni do takiego analizowania, od kobiet. Im za wskazówkę służy w tym względzie *instynkt* i mały, niski sprycik, dzięki któremu umieją wyzyskiwać słabości. A więc żona, zamiarkowawszy, że mąż jest uparty, przekorny lub popędliwy, nie idzie prostą drogą do celu, zbacza, udaje, że nie chce tego, czego pragnie, a osiagnąwszy mimowoli ma pewną pogardę, lekceważy w duchu swego pana i władzę, że dał się podejść. Korzystny rezultat zachęca ją do dalszych prób. Mężczyźni sami bezwiednie w ten sposób uczą kobiety chytrności i są niemniej winni, jeżeli w stosunkach małżeńskich, zamiast ufności panuje podstęp.

— Ja zawsze zrobię z moim Józkiem, co zechcę: dam mu się tylko wykrzyzczyć, na razie ustąpię, a gdy ochłonie, przedstawię mu

rzecz w innym świetle i na swoim postawie. To jest zwyczajna dyplomacya małżeńska, do której mężowie poniekąd zmuszają. I jakże tu się dziwić, że żony lekceważą takich niedźwiadków, prowadzonych naoslep. Winne są i one, że chwytają się nieszlachetnej broni, ale brak obserwacji, brak panowania i zastanawiania się nad sobą mężów, wsuwa im ten oręż do ręki i sprawia, że zamiast dwojga zgodnych współników, idą obok siebie przez życie dwie strony walczące. Gdyby mężowie chcieli wnikać głębiej w charakter żon, w ich sposób postępowania, spostrzegliby niebawem sznurek, na którym są prowadzeni, i uznawszy, że mają tylko to, na co zasłużyli, w przyszłości usunęliby przyczynę złego, a tem samem jej skutki.

Za mało w ogóle, zwłaszcza w miastach, żyje się życiem domowym, wewnętrznym, w chwilach wolnych obowiązki towarzyskie, rozrywki, winty, pochłaniają tak dużo czasu, że braknie go do pogawędki szerszej, w której małżonkowie poznają się wzajem i dowiadują się o sobie czegoś więcej, niż: jak urządzać mieszkanie, proszony obiad, do jakiej szkoły posyłać dzieci, czy dać lub nie dać Mani olejku lub rumianku. Znając się wzajem, można i należy robić sobie ustępstwa, ale z całą świadomością, bez chytrności i podstępów. Wtedy pożycie nie jest walką podjazdową, lecz wspólną ręką w rękę wędrówką po znoej nieraz ścieżce życia, a zgoda małżeńska — zobopólną zasługą.

Inato.



Kobieta w malarstwie włoskiego Odrodzenia.



Ruch dojrzewania umysłowego, który nazywamy zwykle Odrodzeniem, wydał w malarstwie włoskiem rezultaty znakomite: XV-ty i XVI-ty wiek są dla niego epoką najwyższego rozkwitu, w której zabłysły nazwiska: Botticellich, Bellinich, Leonardów da Vinci, Tytjanów, Rafaelów i Michałów Aniołów, odzwierciedlających doskonale w artystycznej formie czas i ludzi.

W sztuce ich, jak zresztą wszędzie i zawsze, poważną rolę odegrała kobieta,—i oto za temat niniejszego artykułu wzięliśmy rozwój ideału kobiety, jak go pojmowali mistrzowie Odrodzenia włoskiego.

Postaramy się więc przedstawić poniżej cały szereg sylwetek niewieścich, cały rząd różnych typów w ich rozwoju historycznym, uwzględniając przytem głównie ich charakter psychologiczny.

Przystępując do tego zadania, musimy zapoznać się przedewszystkiem z typem kobiet, jaki wydał wiek XIV-ty we Włoszech, a z jakim spotykamy się w malowidłach Giotta i jego szkoły. Kobieta jest w nich czynnikiem podrzędnym, nie występującym bynajmniej na pierwszy plan; używają oni jej jako postaci przynależnej do akcji malowidła, podnoszącej wraz z innemi jego główną myśl przewodnią; słowem podporządkowują ją monumentalnemu zakrojowi całości. Kobiety nie są tu jednostkami indywidualnemi, przedstawiają raczej jakiś ogólny ludzki szemat. Przypominam sobie właśnie teraz Madonnę z Dzieciątkiem, malowaną przez Angela Gaddi (szkoła Giotta) w S. Maria del Arena

w Padwie. Matka Bozka ma na tym fresku strasznie szematyczny wyraz twarzy i czuć że nie zdaje sobie sprawy z tego, że na kolanach trzyma Dziecię Świąte; nie jest ona jeszcze kobietą, nie rozumie uczuć macierzyńskich, ani ich rozkoszy.

To jeszcze surowy materyał form, nie ożywionych żadnym motywem psychologicznym.

Początki wieku XV-go nie przyniosły w tym kierunku żadnych zmian wybitnych: typ pozostał mniej więcej ten sam, i choć całość kompozycyjna ożywiła się bardzo pod względem psychologicznym, to jednak oddzielne postacie pozostały, jako jednostki zupełnie szematyczne.

Pierwszym, który pojął i odczuł jako tako psychikę kobiety, był braciszek zakonny Filippo Lippi (1406—1469), o którym biograf mówi, że był tak „kochliwej natury,“ że go nie sposób było utrzymać w klasztorze, a zamknięty w celi klasztornej, porobił z prześcieradeł linę i pospieszył po niej na awantury miłosne.

Jako malarz celował on głównie w oddawaniu postaci niewieścich. Jest to typ kobiet naiwnych, nieśmiało zalotnych, w którym nieświadomiona zmysłowość nadaje główny charakter i stanowi jakiś subtelny, dziwnie pociągający urok.

Fra Filippo malował głównie Madonny na tle ogródków zacisznych lub komnat renesansowych, i choć brak im najzupełniej świętości i powagi uroczystej, choć świeży talent opowiadacza pokrywa często brak pogłębienia, z przyjemnością jednak patrzy się na nie i na długo utrzymuje w pamięci.

O pokolenie późniejszy Pietro della Francesca (1450—1517) podlega więcej tradycjom trecenta (XIV w.), a kobieta dlań wzrasta do jakiejś potęgi monumentalnej, staje się przede wszystkim matką. Typ jego jest dobrze zbudowany, barczysty nieledwie, zdrowy i muskularny, słowem taki, z jakiego się zdrowe potomstwo rodzi.

Lecz ani Filippo Lippi, ani Francesca nie dają w swych malowidłach charakterystycznego typu kobiety XV-go wieku: pierwszy z nich jest bądź co bądź zbyt lubieżny, drugi zaś myśli za poważnie na swój wiek.

To, o co nam chodzi, odnajdziemy raczej w dziełach Botticellego, Perugina i jego szkoły.

Na samo wspomnienie o Botticellim wieje na nas jakiś świeży i orzeźwiający zapach wiosenny, który zdaje się uosabiać w jego postaciach kobiecych. Wiotkie i eteryczne ich ciała, zlekka owiane przezroczystymi woalami (Narodziny Wenery) posiadają właśnie ten przedziwny urok wiosenny. Twarze zarysowane w delikatny owal, oczy spuszczone wstydliwie ku ziemi; roztaczają one swe wdzięki, nie zdając z nich sobie nawet sprawy.

Ze wszystkich jednak mistrzów quattrocenta (wiek XV-ty), najgłębiej może pojął psychologię kobiety Perugino i jego Umbryjczyk następcy. W obrazach swoich dają oni typ nadzwyczaj wrażliwy i subtelny, melancholijny nieco i zadumany, „śmiejący się przez łzy,“ jak trafnie scharakteryzował jeden z pisarzy niemieckich. Madonna nachyla się u nich nad Dzieciątkiem Świątem, a z oczu jej znać,

że przeczuwa wszystkie bóle i męki, które Ja i Jej Syna spotkają.

Pomijam już wielu mistrzów wczesnego Odrodzenia, nie chcąc wplatać w mój artykuł zbyt wielu nazwisk.

Z zewnętrznej, fizycznej swej strony, typ niewieści tych czasów, jest zazwyczaj wiotki i wysmukły, o podłużnej, bladej twarzy, subtelnie i delikatnie zarysowanej. Formy ciała są mało jeszcze rozwinięte i porównyując je do pysznego kwiatu tychże z epoki XVI-go wieku, można je nazwać zaledwie pączkami.

Jak widzimy, był to typ kobiety, dziwnie naiwnej, nieświadomionej, nie zdającej sobie sprawy ze swych powabów. Pomimo tego wywołał już jednak silną reakcję w poronujących kazaniach Savonarolli, który twierdził, że malarze jemu współcześni, biorąc modele swych Madonn wprost z ulicy, popełniają świętokradztwo, zalecał zaś malować ową „donnę umile“ — kobietę z ludu, szczerą i naiwną.

Za Savonarollą poszło z początku wielu bardzo malarzy, cała Florencia i miejscowości okoliczne, — lecz gdy wielki kaznodzieja zginął na stosie w r. 1498-ym, nastąpiła reakcja liberalna.

Rozpoczyna się kultura życia i ciała, ideały klasyczne rozkwitają w całej pełni, jakiś szal humanitarny idzie przez całe Włochy, ogarniając je w jeden wielki płomień ofiarny zmysłowości.

I teraz występuje na jaw Leonardo da Vinci ze swoim nowym typem kobiet.

Wszystko zmienia się u niego w drżący subtelny erotyzm.

Estetycznie zmysłowe usta jego Madonn zdradzają, że są już one kobietami, uświadomionymi i wiedzącymi, że miłość jest pożądaniem, a one miłości pragną i potrzebują, zdają się nie umieć żyć bez niej. Posunę się tak daleko i odważę się powiedzieć, że Leonardo da Vinci mógłby nazwać swoją „Św. Annę“ również dobrze „Pożądaniem...“

Lecz nie sam tylko problemat zmysłowości zajmował wielkiego Medyolańczyka: z równą siłą potrafił on odtworzyć zagadkowość natury kobiecej, jej najskrytsze myśli i uczucia (portret Monny Lizy), i pod tym względem jest on dla nas najzupełniej współczesnym.

Uczniowie Leonarda da Vinci rozwijają typy jego coraz bardziej. Sodoma (1477—1549) przeprowadza go we wszystkich swych malowidłach, szczególnie zaś z wyrafinowaną lubieżnością w oddaniu zmieszania Roksany w „Weselu Aldobrandyńskim.“ Jego postacie kobiece są, podobnie, jak u Correggia, szczytem zmysłowości; ten ostatni tylko jest jeszcze wrażliwszym i jeszcze bardziej przerafinowanym. Coś czarującego jest w tem, jak on tłómaczy uśmiech kobiet Leonarda da Vinci na oszołomienie i upojenie miłosne, przymtem, jeżeli Sodoma jest brutalnie zmysłowym, Correggio — tylko idealistą-erotykiem; Sodoma maluje, co sam przeżył, Correggio przedstawia w swych obrazach tylko swoje marzenia.

W każdym razie, w jego to dziełach dopiero, widzimy doskonale całą różnicę, która oddziela jego czasy od XV-go wieku.

Madonna — Correggia, kokietująca na zabój św. Sebastjana, Hieronima lub innego z Jej świty, jest wprost biegunem poważnych, tchną-

cych świętością Madonn Perugina lub Giovanniego, Belliniego, w ogóle, jak trafnie powiedział Muther w swej „Historji malarstwa:“ „wiek XV-ty malował na temat Wenery Matkę Bozką, podczas, gdy wiek XVI-ty, a przynajmniej jego początek, robił z Maryi — Wenerę.“

Lecz i w tym kulcie zmysłów nastąpiła wkrótce reakcja: kobieta, która przeszła tyle różnych kolei, była naiwną, potem zmysłową, staje się wreszcie wielką, majestatyczną panią.

Pierwszym, który kobietę, jako taką, w swych malowidłach przedstawił, był Tycyan (1477—1576). Madonny maluje on rzadziej, najczęściej portrety lub Wenery. W portretach nadaje on kobietom coś królewskiego, jakąś majestatyczną powagę, poczucie swej własnej godności. (Portret Katarzyny Cornaro).

W swoich „Wenerach“ staje Tycyan na zupełnie greckim gruncie i patrzy na akt kobiety li-tylko, jako na pewną całość linii i barw; — zmysły nie grają w nim prawie wcale.

Jeszcze wyżej stoi pod tym względem Rafael. Kosztem pogłębienia psychologicznego zyskują jego typy niewieście wspaniałą majestat i przepyszną wyczelowaną formę, która dosięga w „Madonnie Sykstyńskiej“ swego szczytu.

Typ kobiet Michała Anioła nie ma w sobie nic „kobiecego,“ nic miękkiego; są to postacie o męzkich prawie aktach, muskularnych i wyrobionych, — prawdziwe matki rodu ludzkiego.

Wyciągając wnioski z tego, cośmy powyżej powiedzieli, dojdziemy do przekonania, że koniec wieku XV-go i początek XVI-go przedstawiają, z punktu widzenia psychologicznego, złotą epokę w dziejach malarstwa typów kobiecych; z drugiej zaś strony wiek XVI-ty imponuje nam majestatem niewiast, jakimś wielkim arystokratycznym spokojem.

Matka Bozka była dla XV-go wieku skromną dziewczką, zrodzoną wśród ludzi; wiek XVI-ty uczynił z Niej Królową Niebios. I w tem właśnie leży cała charakterystyka typów kobiecych obu tych wieków, tak różniących się pod względem kulturalnym.

Stanisław Schneider.

NIESPODZIANKA.

(Szkic piórkiem).



Obszerny, pospolity, wiejski salon, przy oknie w wygodnym fotelu siedzi dama średniego wieku.

Z wielkiem zajęciem wyszywa dziwaczne różowe liście i jeszcze dziwniejsze niebieskie jagody, na tle koloru jasnego piernika.

Naprzeciw siedzący, siwiejący pan, przestaje pykać z fajeczki, zwracając się do stojącego obok zamaszystego młodzieńca.

— Widzisz, Jasiu, jak mamusia zapracowała się dla ciebie i twojej narzeczonej, dzieciąty, ostatni kawałek pokrycia skończy za parę dni.

— Ośm lat pracuję nad tem i kończę na czas... — mówi matka, przestając na chwilę

haftować, a rozparłszy się w fotelu, ogląda z zadowoleniem swoją robotę.

— Ciekawam—dodaje po chwili—jaki styl mebli [najodpowiedniejszym będzie do tego deseni?]

— Jeżeli pójdą do salonu, to gotyckie, rzeźbione z jasnego dębu, — wyrokuje z zupełnym przeświadczeniem mąż.

— Kupiłem już do salonu, moja narzeczona sama wybrała.

— Kupiłeś?... szkoda, te właśnie są pięknością, i tem, że tyle pracy matczynej kosztują, zasługują na pierwsze miejsce. A ładne przynajmniej te wasze nowe?

— O, bardzo piękne, podobały się niezmiernie wszystkim znajomym, którzy je oglądali. Mahoniowe z bronzami, kryte bladawą materią w niezbyt szerokie paski z kwiatkami. Podobno empire. Zresztą, ja dobrze nie wiem, Lili zna się na tych wszystkich stylach, jak malarka. I dziwna rzecz, ona taka skromna i niewymagająca w doborze toalet, meble lubi drogie, powiada, że oczy ją bolą od brzydkich, a za pięknymi przepada.

— Powiadasz, przepada, to zrób jej niespodziankę, i matczyną robotę użyj na przystrojenie małego saloniku, przeznaczonego do jej wyłącznego użytku. Jeśli ma gust i serce, powinna z entuzjazmem przyjąć tak miłą pamięć matki.

— Co prawda, myślałam głównie o tobie, Janku — przerywa matka.

— A zatem wezmę je do swego fumoiru, mamusiu.

— Aha! żeby Neron podarł pazurami! Powiadam, najlepiej do saloniku, ponieważ wielki salon już zajęty. Taka piękna rzecz, wszędzie jest na swoim miejscu. Przyszła synowa potrafi ją należycie ocenić, jako malarka. — A może jej się nie podoba moja praca?

— Moja Milusiu, jak możesz myśleć nawet coś podobnego!... rzecz prawdziwie ładna, każdemu podobać się musi. Ja wybierałem desęń, ty haftowałaś. Ho! ho! pozna się od razu, powiadam! Od czegoż byłaby artystką?

— A ja właśnie boję się tego jej artyzmu... — mówi matka z pewnem zakłopotaniem.

Syn zamyka jej usta pocałunkiem.

— Mamusiu najdroższa, obiecał mi nie wspominać już o tem.

— Dobrze, dobrze, dziecko moje kochane; żyliśmy tylko myślą o tobie, niechże i to życzenie twoje się spełni. Ale co będzie z gospodarstwem?

— Mamusi całe godziny spędzone nad haftem, nie przeszkadzają gospodarować. I Lili wolne tylko od tego chwile poświęci malarstwu.

* * *

Zaraz po ślubie pan Jan porwał ukochaną Lili od jej rodziców do nowo-urządzonego domu.

Właśnie wprowadza pod swój dach drobniutką, wątłą, ale śliczną blondynkę, o wielkich, aksamitnych, czarnych oczach. Te oczy spłoszonej sarny wyrażają w tej chwili więcej hamowanego lęku, niż uszczęśliwienia.

Pan Jan miłszym był dla niej od innych znajomych, ale poślubiła go bez uczucia zwanego miłością.

Poszła za radą rodziców i popędem wła-

ściwej sobie dobroci, nie mogąc się oprzeć namiętnym prośbom rozkochanego w niej młodzieńca.

Ale żal jej było rozstawać się z ukochanymi rodzicami, a myśl pozostania na zawsze sam-na-sam z obcym człowiekiem, przejmowała ją niemiłym dreszczem.

Przez cały dzień swych zaślubin miała pełne serce niewypłakanych łez, wstrzymując się całą siłą od płaczu, bo matka błagała ją, aby nie zrażała smutkiem rozkochanego w niej męża.

— Od pierwszych dni pożycia — mówiła, — zależy zwykle przyszłe szczęście małżeńskie.

Pragnęła być dobrą dla człowieka, który nie wiedzieć za co ukochał ją tak niezmiernie. Uśmiechała się zatem do niego, chociaż miała ochotę płakać, płakać głośno, jak dziecko.

Progi, w które wstępowała w tej chwili, były dla niej tak obce, że z prawdziwą ulgą powitała w salonie znajome sobie meble, wybierane z rodzicami.

Pierwszy raz uśmiechnęła się dzisiaj bez przymusu.

— A tu zaraz, w tym pokoju — mówił pan Jan, wprowadzając żonę do jej gabinetu — niespodzianka dla mojej pani.

I wskazał znane już nam hafty, okrywające miękkie mebelki, oprawne w jaskrawy szafirowy plusz.

Orgia pospolitych kolorów uderzyła niemiłe jej wzrok, do subtelnego cieniowania przywykły.

Zwarła nagle oczy, rażone niemal boleśnie, aż głowę cofnęła wstecz, myśląc z przerażeniem:

— To ma być mój najwłaśniejszy kącik!

Co gorsza, czuła potrzebę podzięk, pochwały. Nie umiała kłamać, a prawda w tym wypadku byłaby wprost grubiaństwem. Nawet przedłużone milczenie było niegrzecznością.

Ale, jak zahypnotyzowana, nie znajdowała w myśli ani jednego wyrazu, a otworzywszy usta zalkała głośno.

Napreżone całodziennym przymusem nerwy, szarpnęły nią wreszcie, lzy wstrzymywane przy pożegnaniu z rodzicami popłynęły niespodzianie. Kryjąc twarz na ramieniu męża, myślała zgnębiona:

— Szkaradną jestem grymaśnicą, płacząc z powodu brzydkich krzesel!

A głośno, troskliwie pytana przez zdumionego małżonka, odpowiedziała, snując dalej myśl swoją:

— Nie zasłużyłam na taką pracę mamy.

— Któż godniejszym od ciebie, Lili ukochana!... sama to zresztą stwierdzasz, przyjmując dar mamy z takim poczciwem wzruszeniem.

Uśmiechnęła się mimowolnie, myśląc z trwogą.

— To pierwsza niespodzianka dla mnie w nowym domu, jakie spotkam jeszcze?

Wtem stargał się wątek jej myśli.

Jan porwał żonę w ramiona i delikatnie jej usta rozgniatując twardymi węsami, uniósł w głąb domu.

St. Korczak.

Z listów do „Bluszczu.“



Petersburg, 10-go Stycznia.

Niedawno otwartą tu została międzynarodowa wystawa p. n. „Świat dziecięcy.“

Zadaniem jej jest poglądowo wykazać, co zrobiono dla fizycznego, umysłowego i moralnego rozwoju światka dziecięcego.

Wystawa zaciekawia, gdyż urządzone została z niemałym nakładem pracy i kosztów.

Zanim jednak mówić zacznę o wrażeniach, jakie z niej wyniosłem, chciałbym zatrzymać uwagę czytelniczek na samych bohaterach wystawy, na dzieciach, które rosą i rozwijają się w naszych oczach.

W pedagogicznym dziale wystawy nad grupą różnych tablic i fotografii o charakterze ściśle naukowym, umieszczony został napis: „W dzieciach — przyszłość ludzkości.“ Jest to maksyma poważna i głęboka, bo właśnie w dzieciach, w nowym pokoleniu, nasza przyszłość. Możemy i tak, i owak rozstrzygać sprawy bieżące społeczne i polityczne, możemy wzbogacać przemysł i podnosić rolnictwo, mimo to jednak przyszła pomysłowość kraju zawierać się będzie nie w tym postępie materialnym, lecz w naszych dzieciach, w ich sile i odporności.

Historia, ta wielka nauczycielka ludzkości, niejednokrotnie już dowiodła, że najpotężniejsze państwa, stwarzane w ciągu całych wieków, ginęły i rozpadały się, dzięki kilku słabym fizycznie i zwyrodniałym duchowo pokoleniom.

Życie dla swego rozwoju, ruchu i ładu potrzebuje sił różnorodnych, a siły te, te podwaliny życia dają nowe pokolenia.

Dzieci, nowe pokolenia, jak nowe fale przyplwy, coraz dalej i dalej napływają na ląd, zagarniają coraz to nowe przestrzenie, podnoszą coraz to wyżej poziom myśli społecznej i życia umysłowego, z wielką zręcznością porywają na barki i bez widocznego wysiłku niosą czas jakiś najważniejsze, najbardziej palące zagadnienia życia. Jeśli zaś siła fali słabnie, i wysoki przyplwy zmienia się w leniwe, senne kołysanie, — to okręt życia, bez względu na moc i wielkość, zwalnia biegu i łatwo popaść może w spiączkę zupełną. Oto dlaczego sprawa dzieci, sprawa przyszłych sterników na okręcie życia, jest najżywotniejszym zagadnieniem dnia dzisiejszego.

Wystawa „Świat dziecięcy“ daje nam w tym kierunku niezbyt liczne, lecz cenne wskazówki.

W dziale rozwoju fizycznego dzieci znajdujemy pewną mapę; jest to okropna, złowroga mapa... mapa śmiertelności dzieci w Państwie.

Według danych ostatniego spisu ludności w 50-iu guberniach Rosyi Europejskiej mieszka 90 milionów ludzi. Dzieci rodzi się rocznie około 4 i pół milionów. Z tej liczby w wieku do lat 15-tu umiera duży procent.

Jaki?

W gubernii Moskiewskiej 542 na tysiąc, to znaczy, że cmentarz porwał więcej ofiar, niż utrzymywało życie. A dodać należy, że gubernia Moskiewska pod tym względem nie jest jeszcze najgorzej postawiona; w Permskiej np. na tysiąc dzieci umiera 544, w Saratowskiej i Tulskiej po 556, w Samarskiej — 576. Najmniej umiera w gubernii Liflandzkiej, bo tylko 313 dzieci na tysiąc noworodków.

Co do Królestwa Polskiego niema danych wcale, więc przytoczę tu dane, co do szczęściu gubernii na Litwie i trzech na Ukrainie, które dadzą pewne, choć przybliżone pojęcie o tem, jak się rzecz ta ma u nas.

Otóż w gubernii Wileńskiej umiera na tysiąc noworodków 329, w Kowieńskiej — 358, w Grodzieńskiej — 406, w Mińskiej — 360, w Mo-



hylowskiej—353, w Witebskiej—366, w Wołyńskiej—406, w Podolskiej—456 i w Kijowskiej—461.

Przeciętnie tedy wypada 400 z górą mogił na tysiąc urodzeń. Na 4 i pół miliona urodzeń dwa miliony trumien!... co za okropny haracz! Pomyślcie tylko, szanowne czytelniczki, wiele tu bólu, łez i cierpień; wiele bezsensnych macierzyńskich nocy, wiele rozpaczyci rodziców!

Nie wspominam tu już o tej olbrzymiej stracie, którą ponosi Państwo, zakopując rok rocznie do ziemi dwa miliony przyszłych pracowników.

A czysta i zdrowa mameczka, kropla lapisu, odrobina limfy mogłyby uratować mnóstwo istnień... Za kilka rubli możnaby uratować od śmierci kilkoro dzieci...

W tym samym pokoju, w którym wiszą wyżej wspomniane mapy, w kącie tuli się skromniutko z oryginalnym i sympatycznym szyldzikiem: „Kropla mleka.“

„Kropla mleka“—jest to maleńkie towarzystwo, niedawno założone w Stockholmie.

Założone ono zostało dopiero dwa lata temu z prywatnych funduszy kilku osób dobrej woli, na wzór takich samych towarzystw we Francji. Zadaniem jego jest zaopatrywać w „kroplę mleka“ biedne dzieci, pozbawione możliwości odżywiania się mlekiem matki. Członkowie Towarzystwa „Kropla mleka“ dowiadują się adresów biednych, zamorzonych niemowląt i podkarmiają je czystym, dobrem mlekiem. Biedne matki przychodzą codziennie do lokalu Towarzystwa, gdzie otrzymują porcy dla swych dzieci. Oprócz tego matki otrzymują rady co do tego, jak należy utrzymywać dziecko, aby było zdrowe, najbiedniejsze otrzymują nawet bieliznę dziecięcą, którą po wykarmieniu dziecka zwracają.

W Stockholmie Towarzystwo „Kropla mleka“ stawia pierwsze kroki, a mimo to już teraz karmi około setki dzieci. Operuje tylko w jednej dzielnicy. W innej części miasta powstać może inne podobne towarzystwo, takim sposobem „kropla mleka“ zrosi całe miasto i codziennie ratować będzie od śmierci głodowej znaczną liczbę dzieci.

Wysyłając na wystawę eksponaty, Towarzystwo „Kropla mleka“ zakończyło swój list następującymi słowami:

„Przyszłość należy do młodych, a więc dążyć do ulepszenia wychowania młodzieży od kolebki, jest to cel wielki i święty, zasługujący na poparcie i poświęcenie mu się. Oto dla czego, pragnąc możliwie rozpowszechnić wieść o naszym sposobie pracy i rzucić myśl organizowania takich towarzystw w Państwie Rosyjskiem, Towarzystwo „Kropla mleka“ postanowiło przyjąć udział w wystawie niniejszej.“

Opisane powyżej Towarzystwo „Kropla mleka“, jest w swoim rodzaju także kroplą w olbrzymim morzu samopomocy społecznej i inicjatywy prywatnej, dwóch rzeczy, tak, niestety, rzadkich u nas.

Jest ciekawa książka Hanzena „Samopomoc społeczna w Danii, Szwecji i Norwegii.“ W książce tej jest 25 rozdziałów, z których każdy poświęcony jest innemu rodzajowi samopomocy społecznej. W jednym z nich mówi się o walce z piaskami, w drugim o walce ze ślepota i ospą, w trzecim o pomocy dla rękodzielników, i t. d.

Dobrze byłoby książkę tę przyswoić i naszemu piśmiennictwu, przekonaliśmy się, ile to jeszcze rodzajów samopomocy istnieje, o których pojęcia nie mamy, samego istnienia których nie podejrzewamy.

Na tej samej wystawie „Świat dziecięcy“ w dziale higieny szkolnej, klinika ortopedyczna wystawiła skrywe podobizny grzbietów dziecięcych ze skrzywieniami kręgosłupa. Skrzywienia są najróżnorodniejsze, a wszystkie wywierają przygnębiające wrażenie. Przykro jest patrzeć na okaleczone dziecięce ciała,

tem bardziej, że liczne krzywizny są przypadkowe, nie wywołane chorobą, stworzone sztucznie.

W dole, pod podobiznami gipsowemi, porozwieszane są fotografie, pokazujące pogładowo, dzięki czemu powstały owe krzywizny. A więc nie zwracano na dziecko uwagi, kiedy pisało, rysowało, grało lub robiło inną robotę, a dziecko garbiło się i krzywiło grzbiet.

Zdawałoby się, że sposób siedzenia przy pisaniu nie ma w danym wypadku wielkiego znaczenia, a jednak w rzeczywistości ma, i to wielkie. Dawniej uczono pisać ukośnie, litery było pochylone. Teraz zaś we wszystkich szkołach starają się przyuczać uczni do pisania prosto; pochodzi to ztąd, że—jak dowiodła praktyka—dawny sposób pisania zmuszał uczniów do garbienia się.

Dwie fotografie wyobrażają położenie dziecka, piszącego pochyło i prosto i uzmysławiają to, cośmy wyżej przytoczyli.

Patrząc na tę kolekcję okaleczonych dziecięcych postaci, pomimo woli pomyślałem o innej, o wiele liczniejszej kolekcji, którą wystawia już nie dział higieny szkolnej, lecz życia samo, o kolekcji skrzywionych, okaleczonych dziecięcych dusz. Na wystawie ta strona światka dziecięcego zupełnie prawie została pominięta, co dowodzi wymownie, że jeśli małą zwraca się uwagę na wychowanie fizyczne, to jeszcze mniej na moralne, duchowe. A przecież, gdyby na wystawie „Świat dziecięcy“ zechciano eksponować nie skrzywione kości pacierzowe, ale okaleczone dusze, to niewątpliwie kolekcja byłaby o wiele bogatsza.

Ze zbieraniem jej byłby też i zachód mniejszy, bo dla upamiętnienia okaleczeń duszy nie trzeba iść do fotografa: one upamiętnione są przez samo życie i spotkać je można prawie w każdej rodzinie...

Skarżymy się często na ordynarną gminność życia, na brutalność stosunków pomiędzy ludźmi, na brak delikatności i łagodności, a przecież wszystko to są skutki naszego niedorzecznego wychowywania dzieci, wychowywania pozbawionego właśnie tej delikatności i łagodności. Dusza dziecka, to wielka skrzynia, do której składa ono wszystko, co spotka na swej życiowej drodze. Spotka miłość, miłość, uśmiech—schowa je do skrzyni i poniesie dalej w życie; spotka krzyki, pogroźki, szturchańce—chowa je również i idzie w życie z przestachem, zdenerwowaniem i chęcią zemsty.

Dzieci, te lub inne ich zalety i wady, jest to ten kapitał, za pomocą którego życie reguluje rachunki z ich rodzicami za pracę poniesioną nad ukształceniem dziecięcej duszy. A przy rachunku tym życie nigdy nie oszukuje rodziców, mają oni dzieci takie, na jakie zasługują.

Dusza dziecka zatruta za młodu nieszczęściem i krzywdą, poniesie i w dalsze życie poczucie nieszczęścia i krzywdy. Na życie patrzeć będzie nie wesoło i radośnie, lecz posępnie i przez łzy,—i odwrotnie, ogrzane ciepłym promieniem pieczyoty rodzicielskiej, dusza dziecka poniesie i w życie ciepło tej miłości.

Więc nie macie nigdy radości i szczęścia duszy dziecięcej, niech ona, jak kwiecie wiosenne napije się dowolnie ożywczej rosy radości i szczęścia.

Dühring w swej książce p. t. „Wartość życia“, podaje jeden śliczny ustęp o dzieciach:

„Przyszłość jest nam ni znana i kto wie, jak ułoży się życie dziecka w latach dojrzałych i czy otrzyma ono swą cząstkę szczęścia wtędy. Starajcie się więc zapewnnić mu możliwe szczęście teraz, nie pozbawiajcie go ani jednego momentu, ani jednej wesołej chwili.“

Oczywiście, należy oddziaływać na obyczaj, usposobienie, charakter dzieci, ale moralnie. Pogroźki, kara cielesna, krzyk nawet, to

wszystko są objawy gniewu; gniew zaś jest to zły doradca wogóle, a szczególnie zaś w sprawach wychowania.

Gniew oddał dziecko od nas, przeraża je, uczy skrytości i kłamstwa.

Należy dziecko wychowywać tak, aby od zbytłych wybryków powstrzymywała je nie obawa kary, lecz obawa zrobienia przykrości rodzicom; jest to także wprawdzie strach, ale strach specjalny, t. zw. strach miłości.

Jeśli stosunki dzieci względem rodziców regulować będzie taki strach miłości, ze stosunków tych raz na zawsze wyrugowane zostanie największe zło wychowania obecnego—kłamstwo.

Dusza dziecka—to brylant drogocenny, szlifować go delikatnie należy, a nie rozbijać młotem gniewu na brutalnym kowadlu życia.

P.

Kraków, w Stycznym.

Spokojny i cichy Kraków, doznał nadzwyczajnego artystycznego wstrząśnienia i okazał się zdolnym do objawów szalonego entuzjazyzmu! Mam na myśli oczywiście koncerty Paderewskiego, wyczekiwanego tu od lat wielu. Lubo wpadał niekiedy przejazdem na dni kilka, zachowywał ściśle *incognito*; tym razem przecież wystąpił w podwójnym charakterze: artysty i dobrodzieja, wiadomo, że wszystkie trzy koncerty dane były na cele dobroczynne. Ceny trzykrotnie podniesione, zdobyły znaczną sumę—gdyż teatr przepelniony był doszczętnie. Załowano tylko, że się jego ściany nie rozszerzyły gościnnie, wobec mnóstwa amatorów, pokrzywdzonych z powodu braku biletów.

Słuchano mistrza z wielkim namaszczeniem i wdzięcznością, zwłaszcza, że wyglądał blade i rozeszła się wieść o tem, że jest cierpiącym. Gra tego nie zdradzała jednak bynajmniej, ani też hojność w upragnionych dodatkach. Odnaleziono dawny czar „Aryela fortepianu“ obok wdzięku, subtelności, pożyty głębokiej i wzniosłej, uderzało coś więcej jeszcze porwijającą werwą w rapsodyach Liszta, stalowe uderzenie, gdy chciał siłę wyrazić i w ogóle zupełnie odrębne, jemu właściwe użycie instrumentu i grę tak indywidualną, że go wyróżnia w pośród wszystkich wirtuozów i po nad wszystkich podnosi. „Sonata“ Beethovena, „Tocatta“ Schumanna, „Etiudy“ Chopina i tegoż „Sonata“ z „Marszem żałobnym“, „Polonez“, „Mazurki“, „Walce“, to wszystko wywoływało zapal i niekończące się oklaski, owacy—a cele godne były poparcia; pierwszy koncert przeznaczony był na sierotki i zaniebane dzieci, które pod swą opieką prowadzi p. Żurawska, odważna kobieta wielkiego serca, o której już pisałam w „Bluszczu.“ Zaczęła z *niczem*, a raczej z bogactwem wiary, miłości, nadziei... Nie zawiedli ludzie, dopomogli szczerze, ale biednych jeszcze więcej gromadzi się z wzrastającą możnością, i oto Paderewski człowiek gorącego uczucia, rzucił wspaniałomyślną pomoc, zabezpieczającą przyszłość pięknej instytucji... Chociaż w skromności swej, unika owacy wszelkich, pewnie go jednak wzruszył widok tych sierotek, które w codziennym przyodziewku ukazywały się na scenie, niosąc mistrzowi kwiaty. Cały teatr współczuł w tej chwili; cały teatr był naprawdę wzruszonym.

Drugi koncert na cele emerytury artystów teatralnych i młodzieży akademickiej, trzeci, na muzykę kościelną Tow. św. Wojciecha, którego prezesową hr. Antonina Potocka, zbierająca od lat fundusz na kształcenie organizatorów potrzebnych w kraju! Zamiast dorocznego koncertu, miała tym razem dostojną protektorka, pomoc Paderewskiego. Wzruszający był moment, gdy wniosła na scenę trwalszą od kwiatów pamiątkę, śliczną akwarę Juliusza Kossaka, przedstawiającą „Wesele podolskie.“

Miasto byłoby chciało nacieszyć się ulubionym wirtuozem, przygotowywało uczytu jemu poświęcone, ale odmówił ich przyjęcia, tłumacząc się pewnym zdenerwowaniem. Sądzimy, że teraz częściej do nas będzie zaglądał—darząc Kraków podniosłymi wrażeniami. Słuchając Paderewskiego, nie myśli się o technice, swoją drogą bajecznej, tylko używa się na prawdziwie artystycznym wykonywaniu arcydzieł w duchu i charakterze twórców, oddycha się natchnioną poezją. Żalowano powszechnie, że poskapił własnych utworów, a przecież ich ma sporo i to tak powszechnie lubianych, zacząwszy od młodzieńczego „Albumu Majowego,” skończywszy na „Legendzie,” „Waryacyach” i „Koncercie.” A chociaż to Chopinista *par excellence*, Chopinista z Bożej łaski, byłibyśmy pragnęli posłuchać, natchnionych fantazją jego własną, tonów... Któż zresztą lepiej wypowiadać umie głębię duszy, od samego twórcy?

Bardzo słuszną uwagę zwrócił w sprawozdaniu swem o muzyce w „Przeglądzie Polskim,” p. Witold Noskowski, że rozwój muzyki w kraju naszym, daje powód do dumy raczej.

Krytyk ubolewa, że polscy wirtuozi, tak mało czerpią ze skarbcza rodzimej twórczości, co jest rzeczywiście niezmiernie niesprawiedliwą anomalią, na którą zwraca uwagę nawet zagranicą, że oprócz Chopina, polscy artyści nie mają w repertuarze dzieł swojskich. Zdaje się, że jednak i na ten pożądany zwrot nadchodzi pora, i że zaczną odtwarzać pieśń własną, jak malarze artyści, którzy zwrócili się już dawno do tematów swojskich, jak powieściopisarze i poeci.

Od wykonawców i od nauczycieli, zależnym jest zwrot pod tym względem; kapelmistrze i wydawcy, niezawodnie pospieszyli, by za ogólnym prądem, gdyż ich celem podsluchiwanie żądań i czynienie zadość potrzebom ogółu. Gdyby nam kto zestawiał cyfrę cudzoziemskich utworów, sprowadzanych do kraju, z ilością znanych w kraju dzieł swojskich, zestawienie musiałoby być olbrzymie. Nie tak dawno temu, podobny stosunek istniał w literaturze powieściowej, dopóki Kraszewski nie wyrugował trochę Balzaca, Dumasa etc.—dopóki Sienkiewicz nie zawiadniał czytającymi, od najwykwintniejszych aż do maluczkich... Następcom już idzie łatwiej, po utartej drodze.

W Krakowie, mimo karnawału, zapowiadają kilka koncertów, lubo afisze balowe przeważają, zwłaszcza „Bal akademicki” i „Bal Rabczyński” (na kolonie wakacyjne dla chorych dzieci), zazwyczaj się udają. Zjechać ma ulubiony tu skrzypek Burmester, znakomity wykonawca Bacha, a śpiewaczka Landi urządza wieczór pieśni. Wczoraj w sali „Sokoła” odbył się drugi z rzędu koncert, tak zwany „ludowy,” zapewne dla cen popularnych, który ściągnął nader liczną publiczność. Między wykonawcami, znalazł się prof. Konserwatorium Wienuchowski, obok uczennice Konserwatorium i amatorów, oraz produkcji chórow. Słowo wstępne „O pieśni ludowej,” wygłosił p. Bursa. — Zresztą „Jaselka” jeszcze nie schodzą z afiszów — i ściągają tłumnie dziatwę i prostaczków na przedstawienia.

Że Muzeum Narodowe coraz liczniejszych gromadzi widzów, świadczy o tem roczne sprawozdanie; zwiedziło je mianowicie 26,065 osób, co przyniosło 11,421 koron dochodu, wobec niskiej opłaty wejścia. Subwencya państwowa wynosiła 3,000 koron i krajowa tyleż, miejska zaś 7,642 koron, (nie licząc lokalnego). Sprawozdawca czyni melancholijną uwagę, że fundacyi i zapisów pieniężnych Muzeum nie posiada, mimo 20-tu lat istnienia.

Z zamknięciem starego roku mimowoli oblicza się, co nam przyniósł w dziedzinie nauki, sztuki, w zdobycach postępu, cywilizacyi. Jakżeby dobrze było wrócić do owych „Obrachunków,” którym początek dał J. I.

Kraszewski. Zarzucano mu, że niekiedy chcąc pisać o wszystkim, napisał nieświadomie o rzeczach mniej sobie znanych. Ależ byłby na to sposób jedyny, chcąc mieć obrachunki wierne i doskonałe, by poszczególne działy spoczywały w rękach fachowych, kompetentnych. Zamknięcie rachunków byłoby w takim razie istotnym obrachunkiem sumienia z roku ubiegłego. A mielibyśmy na szczęście nad czem się zastanowić, gdy w ciągu roku przybyło dość i książek dobrych, i dzieł sztuki, i instytucji pożytecznych, gdyby krytyka poważna i świadoma rzeczy chciała się zająć skrupulatną oceną. Tylko, że podobno tej krytyki coraz mniej... Ci, którzyby mogli oświecać i kierować opinią, wolą milczeć, ustępując stanowisk swoich częstokroć niepowołanym „dla świętego spokoju...”

Pisząc o krytyce, z konieczności trzeba wspomnieć o teatrze i zdradzić niedyskretnie zamiary dyrekcji. Obiecują nam „Lillę Wenedę” w poście, lub po Wielkiej Nocy. Tymczasem „Kopciuszek” nie schodzi z repertuaru; Nowaczyński próbuje po raz pierwszy swoich sił dramatycznych w „Światłocieniach;” dają „Zmartwychwstanie” Tolstoja, robiące na scenie podwójnie przygnębiające wrażenie. Ukazuje się „Borkman” Ibsena, wznawiają „Wesele Figara” z wielkim powodzeniem, jako rzecz nie starzejącą się nigdy; wreszcie zapowiadają na najbliższą premierę „Różę Berndt,” dramat Hauptmanna.

Ale jeżeli idzie o sensacyjne tytuły, to i teatr Ludowy nie daje się wyprzedzić Miejskiemu, zapowiada bowiem nieśmiertelną „Zemstę za mur graniczny” Fredry i operę „Władysław Łokietek czyli Wisliczanki” Elsnera, „Stary kapral czyli wiarusy sztandarów Francji,” dramat Cogeny. Wypisuję tytuły sztuk, będąc pewną, że zaimponują niemi nawet Warszawie!

W naszym światku naukowym budzą zajęcie zapowiedziane konferencye historyczne. Podług założenia prelegentów, w obecnym cyklu chodziłoby głównie o zaznaczenie najważniejszych cech ruchu, objawiającego się w dziedzinie nauki historycznej. Aula Uniwersytetu zciąga coraz liczniejszą publiczność. Tym razem będzie to rodzajem próby wprowadzenia kwestyi naukowych przed szersze forum; wymiana myśli, zcieranie się zdań i skupienie pracowników z całego kraju na jednej niwie, musi mieć znaczenie doniosłe, zwłaszcza, że poruszane będą przedmioty pierwszorzędnej znaczenia. I tak, w dniu 15-m b. m. mówili pp. d-r St. Krzyżanowski i Wiktor Czermak: „O studiach historycznych,” we dwa dni później d-r St. Kętrzyński i d-r St. Zakrzewski obrobili: „Średniowiecze polskie w literaturze historycznej.” Następnie prof. Uniwersytetu Lwowskiego, Finkel, obierze za temat wykładu: „Nowszą historyografię epoki Jagiellońskiej,” d-r Tadeusz Grabowski: „Zadania historyi literatury i dzisiejszy sposób jej badania;” dyrektor Muzeum Narodowego, Kopera, mówić będzie o: „Historii sztuki;” d-r Bronisław Dembiński, znany historyk, professor Uniwersytetu Lwowskiego, da nam: „Charakterystykę historyografii francuzkiej, a zwłaszcza metody badań Wielkiej Rewolucyi;” d-r St. Kutrzeba wypowie: „Poglądy na ustrój Polski w przeszłości;” wreszcie d-r St. Grabski i docent Uniwersytetu Lwowskiego, Adam Szelański, wypowiadają: „Stosunek nauk społecznych do badań nad historią.” Same tytuły konferencyi i nazwiska prelegentów wystarczą, by ocenić doniosłość naukową tego projektu. Przewodnictwo w pracach Komitetu objął prof. Maryan Sokołowski.

Jest nadzieja, że konferencye historyczne obudzą żywe zajęcie powszechne i że nie zbraknie na nich chciwych wiedzy, słuchaczek. Historia jest może najprzystępniejszą z nauk dla kobiet, nie wymaga osobnego przygoto-

wania; systematyczne czytanie dobrych książek wystarcza do oświecenia umysłów.

W.



Republika dziecięca.



Republika dziecięca, o której zdarzało mi się już spotykać wzmianki w dziennikach warszawskich, funkcjonuje znakomicie.

Historja jej w streszczeniu przedstawia się w następujący sposób:

W r. 1890 bogaty kupiec z New-Yorku, p. George, sprowadził do swej fermy podczas wakacyi około 30-tu biednych dzieci. W latach następnych liczba ta wzrosła do 200-tu (w tem około 50-ciu dziewczynek). Początkowo p. George dostarczał swym pupilom całkowitego utrzymania, wpłynęło to atoli na nich w ten sposób, że literalnie terroryzowały całą okolicę.

Dobroczynny kupiec spostrzega się, że idzie drogą niewłaściwą, i postanawia dostarczać im wszystkiego wyłącznie w zamian za pracę. Zmiana systemu wywołała wprost „rewolucyę.”

Jednakowoż dzięki stanowczości p. George'a dzieci zmuszone były poddać się nowemu porządkowi, przyzwyczajając się do zarobkowania na życie. Działo się to w r. 1894. Wtedy pan George poruczył samym dzieciom zorganizowanie własnych sądów i policji.

Te urządzenia poddały mu myśl założenia republiki dziecięcej. Dzieciom jednakowoż projekt nie podobał się, i zapisało się do niej zaledwie 20-a, a wkrótce ilość ta zmalała do 5-ciu.

Owych pięciu obywateli George senior Republic miało początkowo za pożywienie zaledwie kartofle i pomidory. Obecnie Republika liczy około 100-u obywateli, z których wielu studjuje w różnych uniwersytetach Ameryki; przyzwyczajeni zaś są oni do takiego porządku we wszystkich urządzeniach, że jest dla nich rzeczą niemałej wagi, jeśli np. łaźnia parowa pozostawia coś do życzenia.

Prawa Republiki przechodzą przez głosowanie ogólnego zebrania obywateli, przyczem założyciel jej pozostawił sobie jedynie prawo weta. P. George w dalszym ciągu dostarcza republice wszystkich potrzebnych dla niej produktów, każdy jednak przedmiot musi być zapłacony monetą miejscową. Moneta robiona jest obecnie z aluminium i nosi dewizę republiki: „Nie bez pracy.”

Inicytywa zarobkowania pozostawiona jest dzieciom: każde pracuje w kierunku, do którego czuje zamiłowanie. Jedni więc utrzymują hotele od urządzonych z całym komfortem do najprostszych domów noclegowych), inni — restauracye, jeszcze inni — sklepy i t. d. Sprytniejsi, lub pracowitsi robią majątki, mniej zabiegliwi — bankrutują. Fortuny i bankrutwa — aluminium!

W ten sposób obywatele Junior Republic uczą się rozumieć cenę pracy, oszczędność, wartość pieniędzy i warunki walki o byt.

Następnie przyzwyczajanie własnych spraw lub przestępstw wyrabia w tych małych obywatelach poszanowanie praw i moralności. Wogóle życie obywateli i obywaterek nie wywołuje częstych nieporządków w Republice. Fakt ten tem bardziej godzien jest uwagi, że wiele z dzieci jest skazańcami, wysłanymi przez sądy ogólne do Junior Republic, jako do zakładu poprawczego.

h. r.



Kronika działalności kobiecej.



— W Krakowie ukonstytuowała się przed kilku tygodniami, przy czytelni krakowskiej dla kobiet „Sekcja obrony praw kobiety“ i rozpoczyna już swą działalność.

Program przyjęty przez Sekcję jest nadzwyczaj obszerny, tak obszerny, iż wartoby go rozspecjalizować, albowiem mało pewnie znajdzie się kobiet, rozporządzających tak znaczną ilością czasu, iżby wszystkie punkty ustawy przyjąć mogły dla siebie za obowiązującą, obecnie zaś tylko takie zapisywać się mogą w poczet członkiń. Program jest następujący:

I. Wychowanie szeroko pojęte, a więc wychowanie dziecka, kobiety, mężczyzny i społeczeństwa:

a) przez zakładanie szkół, opartych na zasadach nowoczesnej pedagogiki, stosowanej do nowoczesnych warunków;

b) domaganie się reform w obecnie przyjętych systematach wychowawczych.

c) zakładanie czytelni i wypożyczalni z odpowiednimi książkami i czasopismami;

d) wydawanie, popieranie i rozszerzanie pism, broszur, wydawnictw, odezwo i petycji, w zakres programu wchodzących;

e) urządzanie wieców, kongresów, zgromadzeń, konferencji, słowem oddziaływanie wszelkimi sposobami na opinię publiczną.

II. Staranie się wszelkimi sposobami o dobroć dla wszystkich, a więc i dla kobiet, praw politycznych i obywatelskich.

III. Zdobycie dla kobiety równouprawnienia w pracy i organizowanie w tym celu kobiet pracujących, dążenie do ogólnej poprawy warunków ekonomicznych przez popieranie wszelkich organizacji męskich, czy mieszanych do poprawy takiej zdążających.

IV. Ochrona macierzyństwa;

a) przez wywołanie ustawy zabezpieczającej kobietę materyalnie przez państwo albo społeczeństwo na czas niezdolności do pracy w okresie macierzyństwa;

b) przez zakładanie przytułków dla położnic;

c) zakładanie kas pomocy dla kobiet w ciąży i matek karmiących;

d) tworzenie zakładów wychowawczych dla niemowląt.

V. Ochrona prawna kobiety przez reformę ustaw, dotyczących prawa majątkowego i małżeńskiego, prawo wykonywania opieki nad dziećmi, zniesienie różnic prawnych pomiędzy dziećmi prawymi a nieprawymi, organizowanie biur porady dla kobiet pokrzywdzonych.

VI. Walka z niemoralnością i handlem kobietami:

a) przez odpowiednie wychowanie społeczeństwa i wyrabianie opinii publicznej;

b) przez wywołanie odpowiedniej reformy ustawodawstwa;

c) zakładanie biur informacyjnych i organizowanie opieki dla dziewcząt samotnych;

d) otaczanie opieką kobiet wykończonych, celem umożliwienia im powrotu do normalnego życia.

VII. Zakładanie wspólnych gospodarstw (kuchnie, pralnie i t. p.) na zasadach współdzielczych opartych, celem dostarczania tańszego i higieniczniejszego utrzymania, oraz wyzwolenie kobiety od przymusowo ciążącego na niej obowiązku, zajmowania się gospodarstwem domowym.

VIII. Zbieranie materiałów statystycznych i urządzanie ankiet.

IX. Badanie ogólnego ruchu kobiecego i społecznego, oraz odwrotnie, informowanie ogółu o ruchu miejscowym drogą korespondencji, kongresów międzynarodowych i t. p.

— Ameryka. Przy Uniwersytecie w Columbii utworzono nowy wydział ku studium *fizycznego wychowania* obecnych pokoleń. Pośród profesorów tego wydziału znajdują się cztery kobiety. Nowa ta naukowa sekcja obejmuje: fizyczną budowę dziecka, podatność organizmu w rozmaitych kierunkach, dziedziczność, skłonności dziecka, higienę domową i szkolną, ważność w wyborze dziecięcych doktorów, sposoby leczenia, gimnastykę, sporty.

— Belgia. Ankieta wystosowana przez stowarzyszenie tkaczy, liczące w pośród 1200-u członków, 800 kobiet, wykazała że śmiertelność dzieci robotnic jest przerażająca. Na świat przychodzi prawie jedynie chore dzieci, a 72% umiera przed 5-ym rokiem z przyczyny chorób, przyniesionych z sobą już przy urodzeniu. Tak przerażająca statystyka zagnała rząd do gruntownego zbadania tej sprawy i okazało się wśród innych warstw pracującej ludności śmiertelność w wieku dziecięcym, aczkolwiek mniejsza, jest też bardzo duża, bo z przecięcia wynosi 55%. Rząd, a wraz z rządem wiele dobroczynnych stowarzyszeń kobiecych, obraduje nad sposobami zaradzenia złemu, a przede wszystkim nad ulżeniem losu pracujących kobiet, który jest złego przyczyną.

Z. S.



Nasz ul.



— Trzy lata już istniejący miesięcznik „Książka“, w ostatnim numerze zamieścił cały szereg artykułów, pióra wybitnych publicystów i krytyków naszych, charakteryzujących rozwój nauki i poezji u nas przez ostatnie trzy lata. Na czele znajdujemy artykuł p. Mahrburga: „Filozofia“, o „Matematyce“ pisał p. S. Dickstein i wiele, wiele innych artykułów, zebranie których razem wykazuje postęp nasz na każdym polu.

— W ostatnim numerze „Tygodnika Ilustrowanego“ zamieszczono gorącą odezwo d-ra St. Koczyńskiego „Do matek“, w której tenże nawołuje matki do karmienia dzieci własną piersią. Coraz częściej kobiety ze sfer inteligentniejszych usuwają się od tego naturalnego obowiązku swego, wynajdując coraz blaszsze przyczyny i powierzając dzieci swe kobietom obcym, nieznanym, narażając przez to dzieci na przeróżne niebezpieczeństwa.

Ogromna większość matek—mówi autor—może i powinna własną piersią karmić swe dzieci. Przemawiają za tem silnie względy natury higienicznej, a jeszcze bardziej względy natury etycznej.

Przytem obecny system stręczenia mamek jest tak ohydny, że już sama ta sprawa wymaga koniecznie uregulowania i ujęcia w pewne karby etyki i moralności.

Odezwa zatem zwraca się do matek, by w głębokim poczuciu przyrodzonego obowiązku macierzyńskiego, w imię tej idei, walczyć zaczęły. Cześć im—mówi autor,—cześć im powie każdy rozsądny członek społeczeństwa.

— W poruszonej przez nas sprawie sług, zabrało głos „Słowo“, i oświetla sprawę tę ze strony stosunku pań do sług. Nasze panie mają temperament bardzo nierówny, który też nieraz daje się we znaki sługom, srodze często karany za blahe przewinienie, lub też pobłażliwie traktowanym za największe nawet przewinienie. Przytem panie nasze są wciąż jeszcze zajadłymi konserwatystkami, konserwatyzm ten nakazuje im traktować służbę, jako osoby znacznie niższe. A takie traktowanie nie przywiąże chyba sługi do państwa.

W takich razach założenie szkoły dla sług nie wielki wydałoby owoc, chyba, że jednocześnie założonoby dla pań szkołę obchodzenia się ze sługami. Panom temu należy się również kilka słów...

— Na konkursie „Wędrowca“ na jednoaktowy utwór dramatyczny, nagrody pierwszej nie przyznano nikomu; nagrodę drugą utworowi p. t. „Cichy człowiek“, napisanemu przez Nie-Stanisława Nie-Przybyszewskiego, odznaczono zaś prace: „Pazik“, p. Mieczysława Guranowskiego,

„Burza“, p. Henryka Leśniewskiego z Paryża, „Śnieżana“, p. Mamerta Wikszemskiego z Kijowa.

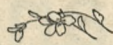
— Na konkursie na plan budowy ratusza w Krakowie, pierwszej nagrody nie przyznano nikomu, dwie drugie nagrody po 3,500 koron, przyznano pracom pp. Odrzywołskiego i Graviera, trzecią, w summie 2,000 koron, spółce pod firmą Stryjeński i Miączyński.

— W Krakowie zmarł dnia 8-go b. m. jeden z najzasłużniejszych pedagogów galicyjskich, radca szkolny, ś. p. d-r *Karol Benoni*. Zmarły początkowo był profesorem historii, później dyrektorem gimnazjum, wreszcie radcą szkolnym i na wszystkich tych stanowiskach był zwolennikiem postępowych pojęć pedagogicznych. Brał również czynny udział w życiu publicznym Galicji.

— W Krakowie zmarł dnia 10-go b. m., w wieku lat 64, ś. p. d-r *Gustaw Neusser*, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, były lekarz armii cesarza Maksymiliana w Meksyku, dyrektor szpitala obłąkanych w Kulparkowie.

— Dnia 10-go b. m. zmarł w Paryżu słynny malarz i rzeźbiarz francuzki, *Leon Gerôme*. Obrazy i rzeźby jego zdobywały wielokrotnie nagrody na wystawach. Na malarstwo francuzkie wywarł wielki wpływ, jako profesor paryskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Żył lat 80.

Pszczola.



— Zarząd Warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego ogłasza niniejszem konkurs na treściwy, a jednak możliwie wyczerpujący „Opis hodowli roślin w mieszkaniach“, opracowany na podstawie biologicznej. Rzec ma być napisana możliwie elementarnie, służyć bowiem będzie za podręcznik dla dzieci powyżej lat 10, mający na celu rozbudzenie w nich i zaszczepianie zamiłowania do przyrody, oraz wdrożenie do spostrzeżeń nad życiem roślin. Objętość dziełka wynosić ma dwa arkusze druku. Za najlepszą pracę, odpowiadającą w zupełności powyższemu celowi, Towarzystwo wyznacza premium rubli 50. Praca uznana za najlepszą przez uproszony Komitet sędziów, będzie niezwłocznie wydana kosztem Towarzystwa i stanowi jego własność.

Termin nadsyłania rękopisów, z załączeniem nazwisk autorów w zamkniętych kopertach, wyznacza Towarzystwo do dnia 1-go Kwietnia r. b. Rękopisy nienagrodzone, wraz z nieotwartymi kopertami, zawierającymi nazwiska autorów, będą na żądanie zwracane.



ODPOWIEDZI.

— *Pani A. R.* — Po wypytaniu osób kompetentnych w kwestyi wprawienia się w pisanie w języku francuzkim, zapewnić możemy, że dla osoby czytającej i mówiącej w tym języku, najlepszym będzie kurs gramatyki Larousse'a, poczynając od książki pierwszej, — następnie zaś łatwymi wskazówkami będą „Wzory do pisania“, których jest kilka tomów.

— Złożono w Administracji naszego pisma dla bardzo chorej na płuca nauczycielki z matką sparaliżowaną:

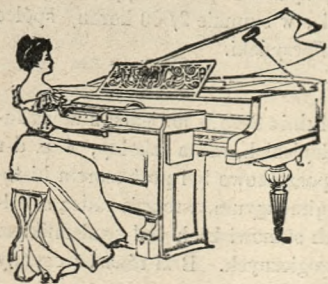
Ap. Ol...ski „ziarnko do ziarnka“ — kop. 10.

Treść numeru:

Dzieci i służący, przez Zofię Seidlerową. — Wnuczka (nowella), przez Halinę Adę (ciąg dalszy). — Sonety, przez Kapelana. — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpilowską. — Nasz kwestyonarysz macierzyński (ciąg dalszy). — Kobieta w malarstwie włoskiego Odrodzenia, przez St. Schneidra. — Niespodzianka (szkie piórkiem), przez St. Korczaka. — Z listów do „Bluszczu“: z Petersburga, przez P. i z Krakowa, przez W. — Republika dziecięca, przez h. r. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul, przez Pszczolę. — Odezwa. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz czwarty powieści „Miłość moim grzechem.“ w przekładzie z francuzkiego M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 27). — Pogawędka gospodarska. — Przepisy kuchenne.



„ANGELUS“

Jedyny egzystujący mechan. Wirtuoz-fortepianista, który daje następujące kombinacje dźwiękowe:

Fortepian (pianino) solo, Organki solo, duet fortep. i Organy

Osoby zupełnie niemuzyczne są w stanie wykonywać na Angelusie najbardziej skomplikowane kompozycje z wszelką expressją.

Angelus przystawiony do pianin „CROWN“ wydobywa automatycznie dźwięki „Harfy-Mandoliny“, Cytry i t. p.

Cena od Rub. 500 do 750.

Wylączność firmy

Herman i Grossman

(Petersburg). Warszawa, Mazowiecka 16. (Moskwa).

Illustrowane broszury i katalogi nut bezpłatnie.

„Kuryer Codzienny“

Pismo Społeczno-Literacko-Polityczne

pod redakcją STANISŁAWA LIBICKIEGO.

W roku przyszłym drukować będzie słynne

KRONIKI TYGODNIOWE BOLESŁAWA PRUSA

tegoż autora:

KARTKI Z PODRÓŻY.

Od Nowego Roku „KURYER CODZIENNY“ drukować będzie nadzwyczaj interesującą powieść społeczno obyczajową na tle stosunków żydowskich p. t.:

ŻYDZI

napisaną przez **Michała Muttermilcha** znanego estetyka i nowelistę zamieszkałego w Paryżu.

Jako **PREMIUM BEZPŁATNE**

„KURYER CODZIENNY“ da **12 TOMÓW** (120 arkuszy) najcenniejszych utworów literatury swojskiej i zagranicznej, między innymi znakomitą powieść **T. T. JEŻA USKOKI,**

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO

O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU.

Wybór pism **LUDWIKA SZTYRMERA** p. t.:

„Powieści nieboszczyka pantofla“,

PAWŁA BOURGETA p. t.:

CICHA WODA i inne.

Cena prenumeraty: W WARSZAWIE: Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50. NA PROWINCYI z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kop. 25.— Za odnośnienie do domu kop. 10 mies.

ADRES: **Krakowskie Przedmieście Nr. 17.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**— Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Января 1904 г.

III-ci rok wydawnictwa

Wychodzi dwa razy na miesiąc, objętości 96 — 112 str. wiel. form.

Biblijoteka Samokształcenia

Zawiera artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin nauki; w dziale książkowym: dzieła i studia obszerniejsze.

Wyszedł № 1. Zawiera: **Od redakcji** — St. Kucharskiego; **Nauka a natchnienie** — D-ra Piotra Chmielowskiego; **Pierwsza kartka historii religji** — Ign. Radlińskiego; **Eug. Dühring** — D-ra H. Höfdinga.

W dziale książkowym: **Wyższe wykształcenie kobiet, a współczesna nauka uniwersytecka** z dodaniem uwag **O zasadach przewodnich samokształcenia i samokierownictwa duchowego** — D-ra Eug. Dühringa.

Biblijoteka ogłosiła konkurs 500 rublowy dla prenumeratorów na wybranie „złoty myśli“ zawartych w dziełach wysłanych w Biblijotece. Termin 14-go Września. Komplet Biblij. Sam. z 1903 roku do nabycia jeszcze po cenie redakcyjnej.

Z roku 1902 komplety są już wyczerpane.

Pojedyncze książki do nabycia w księgarniach.

Prenumerata: rocznie 6 rb., półrocz. 3 rb., kwart. 1.50 rb.; z przesyłką: 8 rb., 4 rb., 2 rb.

Dla kształcącej się młodzieży 50 kop. miesięcz. w miejscu.

Redakcja: **NOWY-ŚWIAT 37.**

Kwiaty balowe

kwiaty do koszy i żardinier

Girlandy ślubne

poleca w wielkim wyborze

Fabryka sztucznych kwiatów i liści

Władysława Różyckiego

Wspólna 44, róg Marszałkowskiej.

NOWOŚĆ!



Patentowane szczotki do zębów nowego systemu

D-ty Franciszka Zielińskiego

Skład główny: **Warszawa, Zgoda 4.** Handlującym odpowiedni rabat. Nabywać można we wszystkich aptekach, składach materiałów aptecznych, magazynach perfumeryj i galanterji.

Są do nabycia we wszystkich księgarniach dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych, bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

SAMOUCZEK: **Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz)** po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.

Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.

Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.

Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.

Wypisy Francuskie kop. 80.

Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.

Amerykański Przewodnik kop. 50 i 5

Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40; — kurs I-y kop. 1.40; — kurs II-gi kop. 1.80.

Skład u Autora, Warszawa, ulica Złota № 6.

BIURO NAUCZYCIELSKIE PAULINY BURCHARDT

Warszawa, Marszałkowska 125.

≡ Poleca Nauczycielki, Bony. ≡

33 NOWY-ŚWIAT 33

SKŁAD PAPIERU

Edwarda Teodorkowskiego

poleca wielki wybór papierów listowych krajowych i zagranicznych. **Albumy do kart pocztowych, karty pocztowe, wizytowe, oraz wszelkie roboty drukarskie i litograficzne.**

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.